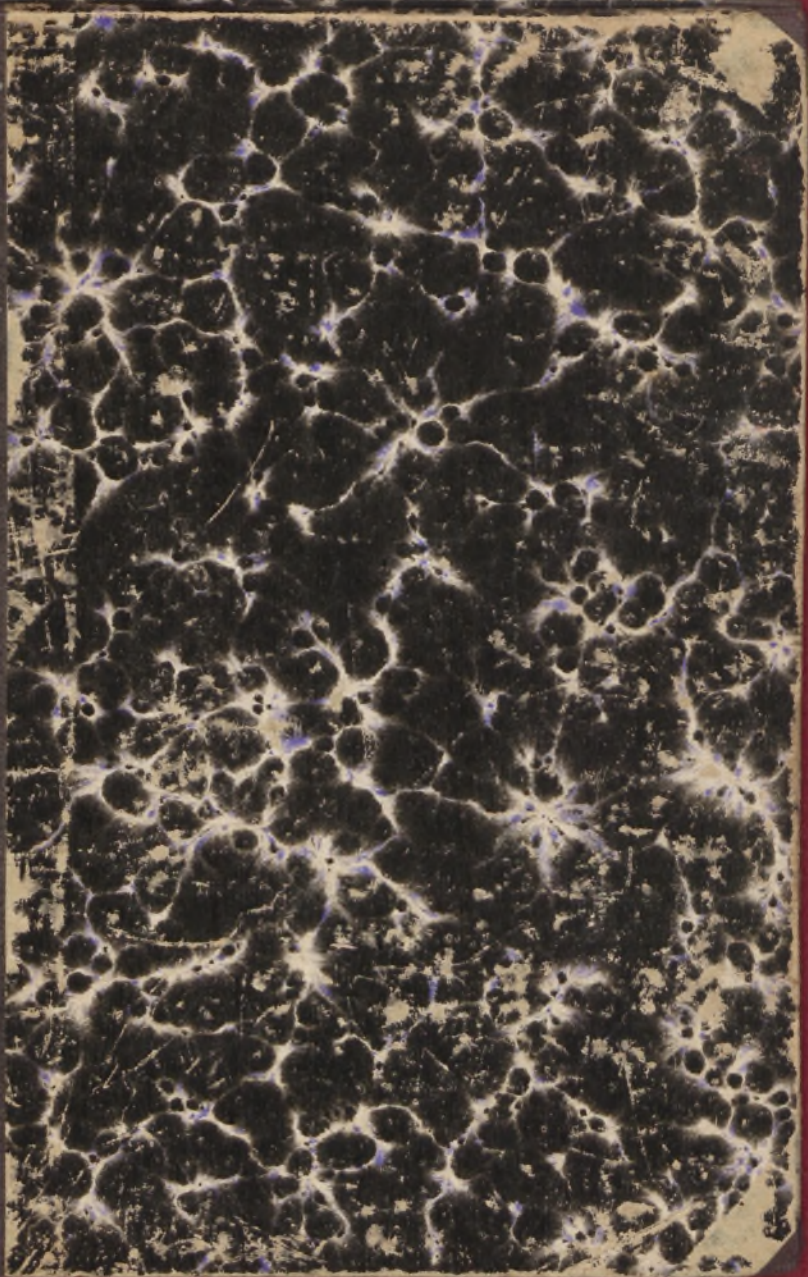

ZBIORY
HISTO
RYCZNE
STEFANA
KOTARSKIEGO
1863-1963

2373

Stefan Kotewicz -
1960

WYDAWNICTWO MATERJAŁÓW

do

HISTORJI POWSTANIA 1863–1864.

Tom IV. Zeszyty I., II. — Lwów 1894.

Objaśnił

Bronisław Szwarce.

Lwów 1894.
Nakładem Wydawnictwa „Kurjera Lwowskiego“.
Czcionkami Z. Golloba.

122612

W ostatnich latach zawrzało w literaturze, dotyczącej powstania 1863 r. Zajmują się niem najrozmaitsze stronnictwa, a górują oskarżenia; znana »*Historja dwóch lat*«, napisana przez jawnego stronnika moskiewskiego, prym trzyma w tym chórze, posługując się carskiemi dokumentami i zeznaniami rozmaitych zdrajców. Obrońcy zaś obowiązku narodowego nie mają wcale aktów śledczych, bardzo mało dokumentów urzędowych, i muszą się ograniczać wspomnieniami uczestników, rzadziej świadków ostatniego zbrojnego ruchu. Tem trudniejszą jest ich rola, że muszą postępować z największą ostrożnością, by nie skompromitować żyjących dotąd osobistości, wystawionych na zemstę i prześladowania zaborców; oskarżyciele wcale się takimi względami nie krępują i mają przeto ogromną przewagę. Dodajmy do tego, że liczba uczestników coraz się zmniejsza, że główni zginęli już przed trzydziestu laty, zabrawszy z sobą do mogiły najważniejsze wiadomości, że ci, którzy ocaleli, czy zdradą, czy szczęśliwym wypadkiem, mogą najspokojniej przekręcać fakty, szkalować poległych, usprawiedliwiać własne

błędy i przestępstwa — i możemy sobie łatwo wystawić, jak trudno zdać sobie sprawę z tego, czem było rzeczywiście ostatnie powstanie.

Obroną narodu i spotwarzonych ofiar zajmował się głównie w ostatnich latach ś. p. Agaton Giller, jeden z głównych organizatorów powstania i wydane przez niego materjały zawierają wiele cennych szczegółów, acz zbyt często pozbawionych krytyki; bo Giller umieszczał żywcem wspomnienia uczestników, których nie mógł skontrolować, ponieważ ani do pierwszych ruchów nie należał, ani w polu nie był — a będąc z powodu swoich umiarkowanych i mistycznych przekonań wrogiem tych właśnie, którzy najwięcej w organizacji i w powstaniu działali, dawał się może zbyt często uwieść swoim sympatjom i antypatjom. Z drugiej strony zdawało mu się, że obrona musi być jak najgorętszą, tak bezwzględną, jak bezwzględnem było oskarżenie; dla tego zbyt pobłażliwie zapatrywał się na działalność naszą, zbyt entuzjastycznie wychwalał wszystko, to nawet, o czem był przekonany, że dodatniem nie było. Dawniej jeszcze, długo przed powstaniem, tak samo idealizował całą dawną Polskę, skrywając błędy, zbrodnie nawet, znane światu całemu, przyznane od wieków przez samych naszych historyków, i dla tego nie dziw, że wrogowie nasi, a nawet przyjaciele, odmawiają świadectwu Gillera wszelkiej wagi tam nawet, gdzie bezwarunkowo wierzyć mu trzeba.

Wydawnictwo materjałów do historji powstania 1863 roku miało ciągnąć dalej pracę przez Gillera rozpoczętą i zebrać niezbędne dane dla

oceny tego narodowego ruchu. O ile nam wiadomo, miało ono nawet korzystać i w części skorzystało z bogatego zasobu, zebranego przez Agatona, z którego czerpał także bardzo wiele pułkownik Struś. Można się więc było spodziewać, że przybędzie nam wiele rzeczy, rzucających nowe a prawdziwe światło na ówczesne wypadki.

Pierwsze tomy niezupełnie odpowiadają takim oczekiwaniom. Z samego wstępu tomu I. p. t. »Rzut oka na powstanie«, można było poznać, że panuje w wydawnictwie dziwna mięszanina pojęć: chwalenie powstania, potępienie tych, co je przygotowali, przesadzanie klęsk i ujemnych skutków, zupełne milczenie o dodatnich wynikach, jednem słowem wyraźny zwrot na prawo, ku tak zwanej pracy organicznej — pod opieką zaborców. Ale że tomy I., II., III. zawierają po większej części urzędowe dokumenty, pracę Gillera o delegacji warszawskiej, bardzo cenne i prawdziwe pamiętniki Bronisława Deskura, wojewody podlaskiego, i dość szczere notatki o organizacji galicyjskiej — taki kierunek nie mógł się wyraźnie uwydatnić, chyba ścisłą cenzurą i obcinaniem tego, co jest dla białych nieprzychylnem, niewygodnem albo wprost szkodliwem swoją prawdziwością. Dopiero w czwartym tomie widać wyraźnie do czego dąży całe wydawnictwo, mające być dalszym ciągiem prac Gillera, a prowadzone — smutno się do tego przyznać — przez byłych członków organizacji i Rządu Narodowego, na których leży główna odpowiedzialność za niepowodzenie. Dąży ono do potępienia całego ruchu, do wybielenia hamu-

jących, a oczernienia działających, do chwalenia jawnych zdrajców Ojczyzny, do wykazywania niemożliwości wskrzeszenia Polski, jednem słowem zupełnie do tego samego, dla czego były napisane «Historja dwóch lat«, »Ostatnie chwile powstania« i podobne prace tego samego, polsko-moskiewskiego autora, oraz »Historja powstania« Moskala Berga, który jest główną wyrocznią takich panów, rozmaite krakowskie pamflety i inne prace *ejusdem farinae.* W tomie czwartym już niema dokumentów, a są tylko wspomnienia uczestników lub świadków, (?) pisane trzydzieści lat po powstaniu, dające bardzo mało nowych faktów, a bardzo wiele przekręceń powszechnie znanych wypadków, jeszcze więcej nieuzasadnionych oskarżeń i czczych deklamacji, a nad wszystkiem góruje wspaniałe wtórowanie temu, co Berg napisał. Chwali się tych, których on chwalił, potępia tych, których on potępił, chociaż dla każdego nieuprzedzonego czytelnika jasno, że pochwała Moskala jest właśnie potępieniem, a jego potępienie najwyższą pochwałą. Smutno, bardzo smutno, że są ludzie, którzy mieli cywilną odwagę umieścić takie rzeczy w wydawnictwie, gdzie znajdują się wspomnienia Gillera, Deskura, Seweryny Duchińskiej i ogniste powstańcze odezwy!

Dla przyszłego badacza dziejów narodowych rzecz będzie aż nadto jasną. Skoro się spotka z sążnistym panegirykiem Karola Majewskiego (T. IV. Zeszyt II., str. 54, 55), z ciągłemi pochwałami Oskara Awejdy, owego »najbardziej obeznanego (niestety!) z biegiem wypadków i in-

teresów powstania« (tamże str. 53), z uwielbianiem markiza Wielopolskiego (Zeszyt I., str. 171, 173), i porówna to wszystko z tem, co napisane o Majewskim, o Awejdzie, o Wielopolskim u p. Z. L. S. (»Historja dwóch lat«), u Berga, u innych Moskali i moskiewskich stronników, książkę natychmiast zapisze do odnośnej rubryki i cenić ją będzie tą samą miarką, co tamte. Przyjaciel nasz zechce ją zatem sprawdzić, jak sprawdza Berga, wróg z największą przyjemnością zapisze, że »sami Polacy stwierdzają nasze wywody«, gniewając się tylko za to, że tak mało nowych zeznań, podobnych do tych, któremi Awejda posłał prawdopodobnie naprzód Karola Przybylskiego i Cezara Morawskiego do więzienia (Zeszyt II., str. 140, 141), a skutkiem tego Traugutta i jego ministrów na szubienicę. Prawdziwy zaś patrjota powie tylko: »A! tu się chwali jawnych zdrajców Ojczyzny i denuncjantów!« i rzuci książkę do kosza.

Ale chociaż wpływ ogólny takich *post festum* pamiętników nie może być dla ogólnych dziejów zbyt szkodliwym, właśnie z powodu ich stronności i zgodności z oszczerstwami wrogów, mogą one wywrzeć najgorsze wrażenie na teraźniejsze pokolenie, bo przytaczają mnóstwo rzekomych faktów i bezpodstawnych oskarżeń, głównie na osobistości, które się bronić nie mogą lub nie chcą, że zachęcają przytem do nader szkodliwego dla sprawy narodowej kierunku. Dość się wczytać w te elukubracje, nie znając nawet faktów, by się przekonać o braku dowodów, o sprzecznościach na każdym kroku, by wiedzieć,

że ani te pochwały, ani te oskarżenia nie mają żadnej podstawy; ale przeciętny czytelnik zgadnąć nie może, że kiedy napisano: A. był samozwańcem i zdradził, B. był bohaterem — że właśnie B. był samozwańcem i zdrajcą, a A. porządnym człowiekiem. Takie sprostowanie należy do rzadkich teraz świadków owych wypadków, jest ich wyraźnym i koniecznym obowiązkiem. Na nieszczęście nie wielu się takiego sprostowania podejmuje, jak np. nieboszczyk Jarmund, ponieważ jedni boją się narazić »mocarstwom«, drudzy są obojętni na oszczerstwa i nie chcą nikogo skompromitować, trzeci nie chcą się mieszać bez dowodów do sporów nader niepochlebnych, a żadnych dowodów prócz własnego słowa dać nie mogą; stoją zatem zupełnie na tem samem stanowisku, co oskarżyciele narodu i boją się narazić na tę samę naganę za nieudowodnione twierdzenia.

W takich warunkach mniej sumienni mają straszną przewagę i z niej wszelkimi sposobami korzystają. Niemasz wątpienia, że wydawcy tłómaczą się koniecznością zamieszczania wszystkich opinji dla otrzymania zupełnego i wiarogodnego obrazu; ale takie tłómaczenie mija się najzupełniej z prawdą, bo dotychczas niema ani śladu opinji tych, których tom IV. nazywa najgrzeczniej »warchołami«, »anarchistami«, i na których wszystkie pioruny padają. Niema też ich głosów ani u Berga, ani u p. Z. L. S. ani w »*Czasie*«, ani w podobnych organach, chociaż wydawnictwo mogłoby najłatwiej sobie dostać mnóstwo broszur c z e r w o n y c h, napisanych głównie

między 1863 a 1870 rokiem, nie mało emigracyjnych dzienników i dokumentów, objaśniających niejedne ciekawe fakta. Zadaniem i celem takiego wydawnictwa byłoby, podług mnie, zestawienie przeciwnych zdań i twierdzeń, krytyczne ich oświetlenie i odszukiwanie coraz nowszych dowodów; praca to żmudna i niewdzięczna, bo muszę przyznać, że korzystając z tajności ówczesnej, wszystkie stronnictwa kłamały i kłamią dotychczas, ile sił starczy, a ci, którzy mogliby prawdę powiedzieć, ci, którzy wówczas nie kłamali, leżą w skrawionych leśnych mogiłach, na stoku cytadeli, w dalekich borach Sybiru, albo we wspólnych grobowiskach francuskich miast. Dodam także, że nawet podczas powstania patrzano się na wypadki, nie wiedząc co się dzieje, także z powodu owej tajności, i że tem bardziej teraz świadkowie sobie z wypadków sprawy zdać nie mogą, kiedy zamglona pamięć jeszcze bardziej wszystko zagmatwała.

Nie widać dotychczas, by wydawnictwo miało najmniejsze pojęcie o takiem zadaniu. Powtarzam, że oprócz pamiętników Deskura, niema w niem śladu opinji stronnników ruchu, a dokumentów demokratycznych bardzo mało. Niema więc mowy o bezstronności, właściwie mówiąc, o wszechstronności, a jest widoczny i wyłączny stronniczy kierunek, ogromnie nam szkodzący. Ponieważ ludzie, którzy grali wielką rolę w ówczesnych wypadkach i przodują po dziś dzień narodowi, jak Adam Asnyk, Ignacy Sewer-Maciejowski, Ludwik Kubala, Zygmunt Laskowski, Wojciech Biechoński i inni, między ktorymi mogę

wymienić Alfreda Szczepańskiego, ludzie, na których padają po większej części oskarżenia, o których mowa, nie życzą sobie na nie odpowiedzieć ani rozjaśnić własnemi wspomnieniami zagmatwanych dziejów Rządu Narodowego; — ja, aczkolwiek nie pierwszorzędny działacz organizacji narodowej i będący już w niewoli moskiewskiej w 1863 roku, czuję się zobowiązanym stanąć w obronie prawdy i rozjaśnić, o ile mi sił stanie, czem dzieło, o którem mówię, zawiniło w obec narodu i w obec sprawiedliwości.

Mam wprawdzie tylko własne słowo jako dowód, bom nigdy nie należał do »buchhalterów« i do »referentów« spisku, surowo nawet zabraniałem wszelkiej pisaniny; ale nie brak mi żyjących świadków i drukowanych źródeł, stwierdzających to, co powiem. Nie cięży na mnie wina odstępstwa ani zdrady, chociaż pod grozą szubienicy, w celi skazanych na śmierć, podczas trzydziestoletniego wygnania na dalekim wschodzie; znajduję się oprócz tego w takiem korzystnem położeniu, że mam bronić tych właśnie »warchołów , przeciw którym zawzięcie wówczas walczyłem, Chmielińskiego, Mierosławskiego i innych, od napaści ich byłych wielbicieli, pomocników i pochlebców, przedzierżgniętych dziwnym zbiegiem okoliczności w najwierniejszych czcicieli margrabi z Myszkowa i księcia Czartoryskiego. Mam za to osądzić własnych kolegów, Oskara Awejdę i innych, których błędy, zbrodnie nawet, mam w wielkiej części na sumieniu, bom im pozwolił zająć stanowiska, dzięki którym popsuli całą powstańczą sprawę, a potem

posłali tysiące ofiar na szubienicę i na Sybir dla ocalenia własnej nędznej skóry.

Tom czwarty materjałów składa się z trzech prac rozmaitych autorów, jeszcze rozmaitszych co do treści i wartości: 1. Memorjału Włodzimierza Milowicza, byłego agenta Komitetu Centralnego w Paryżu, a później komisarza Rządu Narodowego w Galicji, pisanego, jak ogłasza wydawnictwo, przed kilkunastu laty: 2. Wspomnień z czasu młodości (1850—1864), niewiadomego autora, pisanych w r. 1892 i 3. artykułu, raczej pamfletu: »Romuald Traugutt i jego dyktatura«, pisanego w r. 1893.

Pierwsza praca jest o wiele najlepszą, najprawdziwszą i posiada pewną wartość historyczną. Milowicz, osobiście mi nie znany, nie był szczęśliwym w urzędowaniu. Jego aresztowanie w Paryżu przez rząd Napoleoński w 1862 r. spowodowało zabranie pierwszego transportu broni, zakupionej przez członka Komitetu Centralnego, Franciszka Godlewskiego i zadało straszny cios powstaniu. Później był także aresztowany we Lwowie i nic w Galicji nie zrobił; nareszcie był podobno pełnomocnikiem rządu w Turcji z niewiadomym skutkiem. Że grzeszył lekkomyślnością, rzecz wiadoma, a dowodem np. sążnisty raport przechowany w Ossolineum, w którym rekomenduje, między innymi, bardzo gorąco Oskara Awejdę; ale za to mnie przynajmniej nie wypada mu czynić zarzutów, bom się sam na Awejdzie złapał. Z tem wszystkiem memorjał Milowicza, opracowany nie długo po powstaniu, jest uczciwie i szczerze na-

pisany, choć się nie można zgodzić ze wszystkiemi zapatrywaniami autora; jest także w rażącej sprzeczności z resztą tomu: dlatego będę się kilkakrotnie do niego odwoływał. Milowicz podczas organizacji w Warszawie nie był, opisuje bardzo niedokładnie początek powstania, twierdząc np., że »ruch wynikł sam z siebie, bez wiedzy i woli komitetu« (Str. 80. Zeszyt I), nie wiedząc, ani o uchwałach komitetu, ani o ultimatum komisarzy wojewódzkich, ani o misji Padlewskiego, który podług niego, »wyprowadzał młodzież za granicę« (Tamże. Str. 81). Napada też (co mu się nie chwali) na powstanie bez broni, kiedy ta broń przepadła głównie z powodu jego nieostrożności. Ale pomimo tych usterek nic przeciw jego memorjałowi w ogóle powiedzieć nie mogę. Dlaczego druga część jego nie znalazła się (Tamże Str. 2), chociaż w Ossolineum jest wiele jego papierów, o tem wie najlepiej Wydawnictwo.

Zupełnie co innego pamiętniki N. 2. Jako czyste wspomnienia z młodości, opisujące byt młodzieży polskiej przed powstaniem w Warszawie i w Kijowie, może on mieć pewną wartość; ale autor, b. uczeń ultraczerwonej Szkoły Sztuk pięknych, dobrze mi wówczas znany z krańcowych przekonań, popsuł to wszystko najzupełniejszem, mówiąc po prostu, sfałszowaniem faktów, dla własnego, bardzo niezręcznego usprawiedliwienia się z udziału w czerwonym ruchu.

Przytoczę dosłownie jego obronę (Zeszyt I. Str. 173, 174.): »Nie łatwo było zdać sobie sprawę z tego co było do zrobienia w tym chao-

sie — gdzie stanąć i co mianowicie zrobić? Stanąć jako jednostka przy markizie, byłoby to bezowocnie brawować opinję, ośmieszać się nawet. Daleko więcej szans rzeczywiście pożytecznej pracy dawało zajęcie ważniejszego stanowiska w obozie czerwonych, bo przy sumiennej (?) pracy i szczęśliwym zbiegu okoliczności można było mieć nadzieję — niedopuszczenia do wybuchu... Skromnemu aplikantowi sądowemu... nie wolno było pozostać na uboczu... Zostałem czerwonym« najwidoczniej dla zabicia ruchu. Tak może pisać tylko agent policyjny. Szczęściem dla pana B. mogę zapewnić czytelnika, że sam okłamuje się najhaniebniej; ani agentem prowokatorem, ani tajnym stronnikiem Wielopolskiego i jego szpiegiem nie był.

Ale co za upadek moralności, kiedy neofita konserwatyzmu, jakim był widocznie w ostatnich czasach p. B., może pisać takie zeznanie dla zaskarbienia sobie łask swoich nowych protektorów! Ów jegomość przybywał do mnie z Kijowa jako pośrednik Antonowicza — tak przynajmniej mówił — i krańcowych chłopomanów i bardzo się zgorszył, kiedym żądał od Rusinów pewnych gwarancji bardzo, jak mi się zdawało, umiarkowanych, ale jak teraz widzę, bardzo trudnych do urzeczywistnienia.

W pamiętnikach zaś p. B. chwali Wielopolskiego, oskarża Andrzeja Zamojskiego o »ciężki, śmiertelny grzech« (Str. 173), za to, że nie chciał trzymać z markizem (fałsz — Wielopolski go odepchnął) i wypowiada wiele innych zdań, świadczących o jego bardzo stańczykowskich,

a w potrzebie carskich przekonaniach. Tak się ludzie zmieniają!

Zbyteczne dalsze sprostowanie przekręconych przez takiego nawróconego faktów; zrobiłem to już dla własnej osoby w samem wydawnictwie (Zesz. I. Str. 178, 179), chociaż takim sposobem odarłem się z uroku romantyczności i nadzwyczajności, którym p. B. podobałc się mię upiększyć. Powiem tylko, że podług niego samego szachrował z Karolem Majewskim, tylko co wypuszczonym z cytadeli, i z białymi dla obalenia czerwonych, po zabraniu pieniędzy ze Skarbu Królestwa przez Waszkowskiego (str. 192, 193), a można się też domyśleć, chociaż tego nie mówi, że jednocześnie szachrował z czerwonymi dla usunięcia białych, bo wiemy skądinąd, że wydziałowi warszawscy, do których p. B. — jak powiada — należał, tak wówczas jednomyślnie postąpili. Moralność, przyznać trzeba, znakomita!

Pan B. nie wie też dlaczego (ale ludzie wiedzą) (str. 197) wtajemniczył go Chmieliński do zamachu, mającego na celu obalenie tego samego Majewskiego; sam najnaiwniej opisuje jak z Chmielińskim planuje ten zamach, chociaż dodaje dla własnego usprawiedliwienia, że Chmielińskiego chciał najhaniebniej oszukać. Usprawiedliwienie godne czynu i piszącego. Mówi wprawdzie, że nie chciał do Rządu Chmielińskiego należeć, że wyszedł z organizacji; ale jak to pogodzić z tem, że nie wrócił za Traugutta, że później Rafał Krajewski namawiał go do powrotu „z zapomnieniem osobistej urazy“ (str. 203)

i że znowu zajął stanowisko, na którem aresztowany został? Niech czytelnik osądzi.

Dla usprawiedliwienia p. B. muszę powiedzieć, że wcale takim nie był — niegdyś, że sybirski materjalizm i walka o byt na wygnaniu musiały go już tam nawrócić do »praktyczniejszej« moralności i że reszty musiało dokonać wcale nieszczególne, jak widać, towarzystwo, w którem się znajdywał po powrocie do rodzinnego kraju. Sam B. daje najlepszy dowód, że był innym, bo koniec owych wspomnień, pisany widać daleko dawniej, ale przyczepiony do reszty bez żadnej krytyki (co się w Wydawnictwie materjałów często zdarza), jest owiany zupełnie innym duchem. Tu opisuje się aresztowanie, śledztwo, więzienie, wyrok i jazda na Sybir do Moskwy. Nie podoba mi się tylko wzmianka, że został skazany wskutek zeznania biednego Rafała Krajewskiego (str. 211, 212); można było zostawić umarłych w spokoju. Krajewski stracił widocznie głowę, kiedy zobaczył, że rząd biały sam się wydał ustami Awejdy i innych, a p. B. daje nam zresztą dowód, że nie tak łatwo wytrzymać, bo dla prędkości, jak sam pisze, zeznał wszystko co Tuchołce trzeba było (str. 213). Muszą także być przesadzone owe sążniste zeznania Rogińskiego (str. 214) n. p. o 1861 roku, kiedy Rogiński był w Cuneo. Ulubieniec Padlewskiego śpiewał wprawdzie, między innymi i mię oskarżał, ale że przybył do Warszawy parę miesięcy przed powstaniem, prawie nic wiedzieć nie mógł i dla tego nie wielu zaszkodził, oprócz swego protektora i dobroczyńcy. Zresztą sam p. B. pi-

sze, że dopiero później wyciągnięto jego paplaninę dla stwierdzenia widać zeznań Awejdy.

Zdaje się, że po takich wyjątkach należy się tylko dziwić naiwnemu moralnemu zepsuciu, a właściwie moralnej nieczułości, którą się autor tych wspomnień popisuje i mocno żałować, że „patryotyczne“ Wydawnictwo umieściło taki jaskrawy przykład tego, do czego dojść mogą nawróceni stronnicy pracy organicznej. A może jestto wyznanie wiary samego Wydawnictwa?

Trzecia część tomu IV, „Romuald Traugutt i jego dyktatura“, jest co się nazywa kapitalną sztuką wydawnictwa, wyrachowaną na efekt niezwykły, napisaną językiem poprawnym i niekiedy barwnym, obfitującą w tkliwe obrazy i patetyczne wykrzykniki. Wychwalano ją dawno przed wyjściem na świat i nie dziw: takie kunsztuki u nas zawsze się podobają, osobliwie płci pięknej, zwłaszcza kiedy się naprzód wysuwa postać czystego, pobożnego, doskonałego i nieszczęśliwego bohatera. Takim bohaterem wybrany został — dla formy — naczelnik ostatniego Rządu Narodowego, Romuald Traugutt. Myliłby się jednak bardzo ten, ktoby się spodziewał znaleść w tym zeszycie nową i wyczerpującą biografję tego męża. I piszącemu, chociaż go znał widocznie dość dobrze w Warszawie, wcale o to nie idzie. Wszystkie fakty przez niego przytoczone są dawno znane, nic nowego nie dodano — bo nowością być nazwanym nie może poetyczny, albo niby poetyczny opis litewskich „mateczników“ i leśnych bohaterów, pokazujący tylko, że autor Litwy wcale nie zna, a »skoki rysie i kopyta łosia«

wziął sobie z Pana Tadeusza i — z Rodziewiczówny. (Str. 10, 11). Ponieważ Traugutt, zamknięty w sobie jak każdy Litwin, nie bardzo się znajomym wywnętrzał, jego przyjaciel i panegirysta musiał sobie pożyczyć dalszych szczegółów o swoim bohaterze już nie z Mickiewicza, ale z Berga, który je znowu wziął od moskiewskich kolegów Traugutta — i takie jedynie wskazówki o przeszłości Romualda autor nam podaje. (Str. 39 Berg. T. III. 353, 354, 355). Owe pożyczki, dodane do fantastycznego i rozwlekłego opowiadania jedynej, a krótkiej i nieszczęśliwej, choć bardzo zaszczytnej kampanji Traugutta na Polesiu (Str. 40—50), stanowią zręcznie ułożone tło, na którem autor narzucił jaskrawemi barwami to, o co mu głównie szło, to jest gwałtowne oskarżenie „warchołów, anarchistów, czerwonych“ i wywyższenie „wszystkiego co było poważniejszem, światlejszem, doświadczeńszem i zasobniejszem w środki materjalne“, (Str. 53), tych zatem, którzy podług Pisma Świętego, chętnie cytowanego przez autora, trudniej wejdą do krolestwa niebieskiego, niż wielbląd przejdzie przez ucho igielne (Mat. 19, 24). Od czasu zaś jak mąż „opatrznościowy“, jak go autor nazywa, zgniótł owych warchołów, którzy się wcale nie bronili (Str. 79), mianowicie Asnyka, Dobrowolskiego, Narzymskiego, Biechońskiego, ludzi ani poważnych, ani światłych, ani doświadczonych, ludzi bez żadnego talentu, ludzi, którzy ani w ojczystych dziejach, ani w ojczystej literaturze żadnego śladu nie zostawią w porównaniu z przyjaciółmi i protektorami autora — a głównie z Ks. Wła-

dysławem Czartoryskim — szanowny powieściopisarz (bo inaczej go nazwać nie mogę) bardzo mało nam wyjaśnia dalszą rzeczywistą działalność swojego dyktatora, daje nam tylko wiele szczegółów, często polemicznych, o jego życiu w ukryciu w Warszawie, o nominacjach rozmaitych dostojników i funkcjonowaniu machiny urzędniczej, o niezliczonych instrukcjach, których sami nominaci (biali) ani myśleli wypełniać (str. 109, 125), powtarza potem z Gillera streszczenie listów Rafała Krajewskiego i kończy dawno znanemi pięciu szubienicami na stoku cytadeli, 5 sierpnia 1864 r.

Z powyższego streszczenia można się przekonać, że owa opowieść, powieść raczej, jest sobie ładnie napisanem opracowaniem danego tematu, które byłoby zajmującem, a nawet do pewnego stopnia pożytecznem, gdyby nie owe tendencyjne oskarżenia, niesumienne i zupełnie nieprawdziwe, które mię do głębi oburzyły, chociaż dotyczą w wielkiej części moich ówczesnych politycznych przeciwników. Już to samo, że autor wybrał jako parawan postać czystą, wysoce szlachetną, wcale nie olbrzymią, jak utrzymuje, bo przecież Traugutt nic nie zrobił i zrobić nie mógł, a przedłużył tylko konanie powstania — postać skazaną na pewną śmierć, nie z bronią w ręku, jak na generała przystało, gwoli prywatnym interesom arystokracji i która złożyła głowę swoją bez szemrania, ale (jestem o tem przekonany) z zakrwawionem sercem — to samo jest taką profanacją, którejby się żaden porządny człowiek nie dopuścił. Nie myślę atoli całej winy

autorowi przypisać. Z samego jego opowiadania wywnioskować można, że przybył do Warszawy dopiero późną wiosną r. 1863, że nie ma pojęcia o organizacji przedpowstańczej, że nie życzył sobie przepatrzyć to, co o niej napisane było, a gra rolę dobrze nakręconej katarynki dla cudzego śpiewu. Może nawet (bo czegoż na świecie nie bywa?) jest szczerym w swoich inwektywach, tak często od trzydziestu lat powtarzanych, że uważa je może za uzasadnione; wszak one są skierowane głównie przeciw poległym i nie mogącym się bronić, i dlatego tak mało na nie odpowiadano. Być to może — ale w niniejszym tomie czytelnik wcale takiego przekonania nabyć nie może, bo Wydawnictwo raczyło umieścić tuż obok owych niby pamiętników te, o których wyżej mówiłem, i w których można na każdej stronicy znaleźć dowody, że wszystkie, bez wyjątku wszystkie poglądy autora na przebieg powstania są zupełnie fałszywe. Co więcej, Redakcja pozwoliła sobie w licznych dodatkach i interkalacjach chwalić poszczególnie wszystkich tych prawie, których autor potępia *en bloc*, co rozbraja bardzo często oburzenie wysoce humorystycznym dodatkiem.

Rozumie się, że czytelnik nie znajdzie tutaj faktycznego, prokuratorskiego oskarżenia »warchołów«, opartego na dowodach, jasnem wyliczeniu faktów, pewnych datach i dokumentach (tych n. p. autor wcale nie cytuje). Autor poprzestaje, jak całe jego stronnictwo, na bardzo mglistych ogólnikach, na wykrzyknikach i insynuacjach, z których można się domyśleć wszyst-

kiego, co autorowi trzeba, tylko nie tego, co było. Klasyczny przykład takiej taktyki można znaleźć w »Doświadczeniach i rozmyślaniach« hr. Stan. Tarnowskiego, nie potrzebuję więc bliżej jej określać. Powiem tylko dla przykładu że, oceniając działalność rządów narodowych, autor, oczywiście świadek i współdziałacz, ani słówka nie powiada o ich terroryzmie — zobaczymy dalej dlaczego; ale słowa: »terrorysta, terroryzm, anarchja, anarchista« powtarzają się ciągle i stosują się zupełnie dowolnie, tak jednak ażeby czytelnik w braku faktów sam potępił tych, których autor chce utopić. Dat także autorowi nie trzeba, a tam gdzie jest o tyle nieostrożnym, że je przytacza, łapie się najfatalniej, jak później dowiodę, ale nie każdy to spostrzeże.

Z tych wszystkich niedomówek czytelnik wyciąga jednak bardzo jasny wniosek, a mianowicie: że powstaniem kierowali i doprowadzili je do możliwej potęgi ludzie umiarkowani, poważni, na wysokiem społecznem stanowisku *(risum teneatis)*, ludzie, którzy je jeszcze dawniej zorganizowali, jako to: ks. Czartoryski, ks. Y. (Lubomirski?), Karol Majewski, Wacław Przybylski, Oskar Awejde, Adolf Pieńkowski, Władysław Gołemberski, Józef Janowski, Marjan Dubiecki później Romuald Traugut, Rafał Krajewski, Roman Zuliński i inni, ludzie, którzy z największem poświęceniem wszystko przygotowali, prowadzili i podtrzymywali — a że na tle ruchu wyrosły skądciś »chwasty warchołstwa« (str. 101), »krzykacze i burzyciele« (str. 66), »szumowiny moralności publicznej i prywatnej« (str. 51), lu-

dzie, którzy nic nie robili, nic nie przygotowali, tylko bruździli i dobijali się władzy, ludzie bez żadnego społecznego stanowiska, bez talentu, bez odwagi żadnej, poprostu tchórze (str. 57, 61, 67, 73, 80), mianowicie.... Tu autor jest zbyt zręcznym, ażeby natychmiast po takich epitetach nazwiska wymieniać; mówi więc tylko bezpośrednio o Janie Wernickim (str. 51), Ignacym Chmielińskim i Ludwiku Mierosławskim *(passim)*; ale czytelnik domyśli się koniecznie, że do takich samozwańców i szumowin należeli w pierwszym rzędzie: Stanisław Frankowski (str. 61, 78), Dobrowolski i Kobylański, n. b. sekretarz i mecenas senatu (str. 52), Adam Asnyk, Wojciech Biechoński, Józef Narzymski (str. 78), Władysław Kokosiński, Józef Piotrowski — tu oszczerstwo tak wyraźne, że się robi zastrzeżenie (str. 66) — i inni. A kto zna stosunki ówczesne, wie, że takie oskarżenie (gdyby go nie było nawet wyraźnie u Berga) dotyczy zarówno najbliższych towarzyszy, pomocników i jednomyślnych tylko co wymienionych mężów, Stefana Bobrowskiego, Zygmunta Padlewskiego (o nim ani pół słowa), Edwarda Rolskiego, Ignacego Maciejowskiego, Gustawa Wasilewskiego, Jana Karłowicza, Zwierzdowskiego (któremu Traugut nie ufał, str. 128), Zygmunta Chmielińskiego, Józefa Jankowskiego, Chądzyńskiego, Bronisława Deskura i wielu, wielu innych, poległych za sprawę »warchołów, burzycieli i samozwańców«.

Otóż śmiem twierdzić, że taki pogląd jest z gruntu zupełnie i bezwarunkowo fałszywy. Dość jednego słowa, by obalić całą misterną bu-

dowę oszczerstwa. Wszyscy ludzie wymienieni na początku wcale powstania nie przygotowali, byli mu wręcz i zasadniczo przeciwni, wszędzie je hamowali, do organizacji przedpowstańczej nie należeli, (oprócz kilku, o których później), a kiedy się dostali podstępem do władzy, zabili je — wyłączam grupę Traugutowską, o której powiem osobno. Jest to moje stanowcze twierdzenie, a ponieważ należałem do organizacji powstańczej i do Rządu Narodowego (nazwanego wówczas Komitetem Centralnym Narodowym) od samego początku do samego prawie powstania, mam tu głos decydujący. Jeźli trzeba innych dowodów, znajdzie je czytelnik w tej samej książce. O Władysławie Czartoryskim, zdaje się, dowodów nie trzeba. Karol Majewski był głównym kierownikiem Dyrekcji białych przed powstaniem (str. 55) i wszelkiemi siłami przeszkadzał organizacji naszej i uwłaszczeniu chłopów, a układał się nawet z Wielopolskim, który go jednak odepchnął tak samo jak Zamojskiego i potem aresztować kazał, skutkiem swojej zwykłej i bezbrzeżnej głupoty (zeszyt I. str. 181) Gołemberski i Pieńkowski należeli do grupy Jurgensa (I. 11), »która powstrzymywała od gorączkowych agitacji rewolucyjnych«; nie była to organizacja, jak pisze autor, z powodu Henryka Wohla (II. 117), bo szeregowych nie było, a zasiadali sami przyszli ministrowie, gotowi skorzystać ze wszystkiego by dorwać się do władzy, to jest zrobić to, o co autor oskarża »szumowiny społeczeństwa«. Żaden z tego koła, broń

Boże, prochu nie wąchał i wąchać nie chciał, ale zato oskarżają teraz walczących o tchórzowstwo. To też ci panowie (str. 29) żadnego wojskowego, po Padlewskim, naszym ministrem wojny, do Rządu nie wpuścili, czemu się sam autor dziwi, ale niesłusznie; czyż mieli zawezwać Wysockiego, Kruka, Zwierzdowskiego, Zygmunta Chmielińskiego? Dobrze by wówczas wyglądał ks. Czartoryski!

Zdaje się wobec mojego twierdzenia a wręcz przeciwnego powiedzienia autora »Trau gutta«, można się zgubić w domysłach, bo jeden z nas musi koniecznie — kłamać. Niech się czytelnik uspokoi: nikt nie kłamie. Ja mówię najświętszą prawdę, którą mogą jeszcze teraz potwierdzić dziesiątki świadków, autor ma także najzupełniejszą słuszność, ale zapomocą zwykłego w jego stronnictwie nabożnego wykrętu, *vulgo* nazwanego jezuickim. Trzeba tylko przypuścić, że Rząd Narodowy istniał dopiero od marca 1863 roku, kiedy przyjął ten tytuł, a wyżej wzmiankowani karjerowicze dostali się do władzy, że od tego czasu datuje się organizacja, że biali, Jurgenszczycy i nawet Czartoryjczycy byli przedpowstańczą organizacją, która nie myślała nawet o uwłaszczeniu włościan i o Rzeczypospolitej — i szanowny autor może przysiądz na to, co powiedział. Prawda że jest w jego pułku Awejde, że są ci — n. p. Przybylski, Janowski, którzy należeli do Centralnych komitetów (*sic* str. 57) przedpowstańczych: ale *un peu d'escamotage, et le tour est fait.* Pozostaje mi tylko powiedzieć, co za ludzi autor liczy do »warchołów«, jak

mężowie »poważni, umiarkowani, poświęceni i odważni« — o! bardzo odważni! — zabili powstanie, wybielić Trauguta i jego bądź co bądź uczciwych współpracowników z czarnych zarzutów na nich nałożonych przez autora w postaci pochwał — i moja praca skończona.

Wszyscy ludzie, których autor »Traugutta« oskarża o wichrzycielstwo, o zamachy na »prawowity« Rząd Narodowy, niby na jakąś dynastję z bożej łaski (str. 15, 16, 17, 51, 52, 57, 62, 64 i inne) byli mnie bardzo dobrze znani od samego początku organizacji, po większej części osobiście i zajmowali w niej najwyższe stanowiska. Autor jest tak mało obeznany z ówczesnym ruchem, że zmieszał w swoim akcie oskarżenia najprzeciwniejsze kierunki, n. p. Chmielińskiego i Mierosławskiego, i niekiedy o tyle niesumiennym, że zalicza do owych zamachów »czerwonych« te, które były uskutecznione przez jego własne stronnictwo, jak całemu światu wiadomo, n. p. dyktaturę Langiewicza (str. 87). Powiem więc, kto należał do owych »warchołów, wichrzycieli, pyszałków, szumowin«, i zaczynam od głównych oskarżonych.

Jan Wernicki (str. 51) był przy mnie w lecie 1862 r. członkiem Komitetu Centralnego, a nie »jakimś tam podrzędnym urzędnikiem ekspedycji druków«, jak pisze autor, bo on właśnie zorganizował z Winnickim pocztę, która, dzięki temu, że oni tylko wiedzieli o niej, a nie Majewski, Awejde i Sp., nie dostała się do rąk moskiewskich; p. B. wyraźnie to oświadcza (zesz. I. 213): »Poczta narodowa była utrapieniem wszystkich

komisji. Okoliczności się tak złożyły, że do końca nie mieli o niej żadnego pojęcia«. Jezuickie zatem oskarżenie Wernickiego o »zdenuncjowanie Traugutta« (*sic!* zesz. II. str. 140), jest nasamprzód oczywistem nieprawdopodobieństwem w obec czterech tomów zeznań Awejdy (Berg. Tom III. *passim*), a przytem niegodziwością, ponieważ to, o czem wiedział Wernicki, wiedziałem ja, wiedział Stanisław Frankowski, wiedzieli inni nasi, jest dotychczas dla Moskali zakrytem — a wydrukowali czarno na białem wszystko to, o czem wiedzieli Majewski, Awejde i inni przyjaciele i bohaterowie autora. Szanowny oskarżyciel korzystał widać dla oczernienia Wernickiego z tego, że krążą o nim niepochwalne pogłoski co do jego prywatnego postępowania (*cherchez la femme)*; ale mogę świadczyć że z pewnością organizacji nie zdradził — o ile wiem.

Ignacy Chmieliński był członkiem pierwszego komitetu, razem z Władysławem Daniłowskim, na początku 1862 r., i jednym z najczynniejszych propagatorów ruchu — nie zaś jakimś tam warchołem, który nic nie robił, a psuł wszystko. On był »majstrem od zamachów«, np. na Lüdersa, na Berga, a wybierał zawsze wyższe głowy, nie zaś, jak rząd biały, czerwcowy, jakichś nędznych i podrzędnych szpiegów, często niewinnie oskarżonych, jak o tem świadczy nieodżałowane stracenie, z rozkazu białych, moskala Nikiforowa, oficera naszego, przez Lelewela. (Struś: Ludzie i Wypadki). Z powodu swojego ultra terrorystycznego usposobienia usunięty został

w maju 1862 r. i ja właśnie wstąpiłem do komitetu z Gillerem na jego miejsce; bo byłem względnie umiarkowanym, w porównaniu np. z niektóremi późniejszemi ozdobami białych Rządów. Używaliśmy jednak jego podpisu do samego powstania, np. na kwitach podatkowych (są w Ossolineum), a to ażeby tradycji nie przerwać; o tem piszę w Zesz. I. str. 179. Chmieliński marzył tylko o sztyletowaniu, wieszaniu, o bombach i zamachach, czemu byłem — wogóle — stanowczo przeciwny, chociaż musiałem się czasami z nim i z większością Komitetu chętnie zgodzić, np. co do Wielopolskiego; ale byłbym Ignacego z przyjemnością osądził na śmierć po zamachu na Konstantego, nie za zamach, a za oszukanie Jaroszyńskiego i fałszowanie rozkazu. Pomimo twierdzeń autora, że Ignacego brat, Zygmunt Chmieliński nie podzielał krańcowych przekonań Ignacego (II. str. 129) oświadczam, że tak nie było; obaj byli jednakowi, o czem mogą świadczyć wszyscy ci, którzy służyli pod Zygmuntem, jednym z najdzielniejszych naszych dowódzców. Oni to razem urządzili w 1862 r. z bezbronną organizacją powiatu Warszawskiego próbę zawładnięcia Modlinem, o której się nawet Moskale nie dowiedzieli, ale z powodu której Arnold i Śliwicki zostali powieszeni.

Chmieliński nigdy przeciw nam zamachów nie urządzał, ale że był niekarny do najwyższego stopnia, to prawda; a że zbyt prawdziwie osądził rozmaite osobistości, które koniecznie chciał sprzątnąć (Stanisław Frankowski ledwo uratował Karola Majewskiego w wrześniu 1863 r.)

późniejsze wypadki aż nadto pokazały. Walczyłem przeciw niemu wściekle i hamowałem go ile mogłem, bo jego metoda jest stanowczo złą; dobra sprawa nigdy na morderstwie nie wygra. Chyba ci, którzy powstania nie chcieli, powinni by pochwalić zabójstwo Wielopolskiego, bo gdyby zginął, wybuchu by z pewnością nie było; jestto także dowodem niewielkiego rozumu Chmielińskiego, który chciał najprędszego powstania, a gwałtownie dążył do usunięcia jego głównego sprawcy.

Pomimo swoich wad, Chmieliński był niezaprzeczenie uczciwym, nie intrygantem, nikogo nie wydał, jak inni, i odznaczał się, jak Zygmunt, wielką odwagą; tem niegodziwsze są ciągłe oskarżenia go przez autora o tchórzostwo (str. 16, 54, 73). On, który podług autora »nigdy się nie narażał«, był poszukiwany od sierpnia 1862 r., na jego głowę naznaczyli cenę, znany był w całej Warszawie, więc sam jego przyjazd był czynem niezwykłej odwagi takiejby nie odszukać u żadnego z jego przeciwników, którzy rzeczywiście »drapnęli« (wyrażenie autora) bez powrotu, po najpierwszem podejrzeniu.

Trzecią osobą »trójcy szatańskiej« szanownego autora jest Ludwik Mierosławski. Nie potrzebuję mówić o jego zasługach dla sprawy narodowej — i o jego wadach, które się najbardziej uwydatniły przed samem powstaniem. Mierosławski pokłócił się wówczas ze wszystkimi przewódzcami stronnictwa demokratycznego nie o zasady, lecz z czysto osobistych powodów; chciał być wyłącznym kierownikiem, nie cierpiał

przeciwieństwa swoim często dziwacznym i niepraktycznym teorjom i projektom, wymagał bezwzględnego posłuszeństwa (jak zresztą podług autora Traugut str. 101, 119). Kiedy mu Komitet Centralny ofiarował dyktaturę w r. 1862 pod warunkiem, że przyjedzie do kraju i tam ster obejmie, odmówił wręcz i za radą swojego totumfackiego i pochlebcy, Kurzyny, założył ów kontr-komitet rewolucyjny (I. str. 179), do którego należeli Janowski, Daniłowski, Koskowski Władysław i inni.*)

Była to rzeczywiście warcholska robota, bo psuli nam tylko organizację i parli do powstania bez broni; ale daleko mniej szkodzili, niż przyjaciele i bohaterowie autora, którzy hamowali wszystko, nie chcąc jednak iść otwarcie z rządem. Zaznaczę tutaj, że Chmieliński nigdy z Mierosławskim i w ogóle z żadnym dyktatorem nie trzymał (Pamiętnik Eustachego Petyona. Paryż. 1868) i dla tego jego brat Zygmunt nie chciał się naturalnie poddać »knowaniom« Kurzyny, za co go Wydawnictwo tak chwali (II. str. 129).

Projekt wojskowy Mierosławskiego (Dokumenta do dziejów organizacji jeneralnej. Paryż. 1864), o wykonanie którego tak mu chodziło, był zresztą podobny w głównych zarysach do tego, który chciał później urzeczywistnić Traugut (II. str. 103—106, 108) i równie niepraktyczny, cho-

*) Daniłowski Władysław i Władysław Koskowski zasiadali przez czas niejaki jednocześnie w Komitecie Centralnym i w Komitecie Mierosławskiego: udowodniłem im dwoistość i zostali z tego powodu usunięci.

ciaż go autor tak przesadnie wychwala. Mierosławski chciał też, jak Traugut, ogłosić pospolite ruszenie, ale już w styczniu 1863 r.; więcej mu jednak zależało na dyktaturze nigdzie wyraźnie tego ruszenia nie ogłosił; widać, że u niego także prywata brała górę.

Wszystko to musi być zapisane w dziejach na rachunek ciężkich win pana Ludwika. Ale oskarżać go o tchórzostwo, mówić, że nigdy głowy nie chciał nastawić (II. str. 57), kiedy się bił pod Krzywosądzem i Nową Wsią i ustąpił za granicę jedynie dla tego, że mu Mielęcki (mój kolega z Paryża, razem z Witoldem Turną) odmówił posłuszeństwa, bo jego dyktatura była taksamo sfałszowaną, jak dyktatura Langiewicza — twierdzić, że nie chciał się narazić, kiedy siedział kilka tygodni w Krakowie, chociaż wszystkie europejskie policje znały go doskonale, a jego fizjonomja obleciała świat cały — jest poprostu fałszem i niegodziwością. Może się Mierosławski zbyt wielkiem bohaterstwem nie odznaczał, ale Traugut, jak autor szczegółowo opowiada (II. str. 86—94), tak samo się chował i słusznie, chociaż moskiewska policja o nim pojęcia nie miała.

Wogóle ów zarzut tchórzostwa, z którym autor co chwila występuje przeciw »warchołom«, jest jedną z najbardziej oburzających cech jego filipiki. Wszyscy ci ludzie: Chmieliński, Mierosławski, Frankowski, Kurzyna, Narzymski, Piotrowski i t. d. byli ścigani przez rząd carski od długiego czasu, na głowę niektórych naznaczono cenę, a jednak nie bali się, jak autor sam po-

wiada, jeździć po całym kraju, przybywać do Warszawy, byli czasem (jak Stanisław Frankowski) w ręku wroga i tylko cudem wyślizgiwali się — a owi Pieńkowscy, Przybylscy, Awejdowie, Gołemberscy, Dubieccy, Majewscy mieszkali sobie w stolicy zupełnie legalnie i dawali natychmiast nura — na zawsze — skoro się dowiadywali, że ich policja śledzić zaczyna; niektórzy nawet (o to przynajmniej oskarżają Karola Majewskiego) dawali się naumyślnie aresztować i wywieźć, by się uwolnić od pracy organizacyjnej (II. str. 118, 119). Sam mieszkałem przed powstaniem nielegalnie w Warszawie całe siedm miesięcy, poszukiwany w całym kraju, jeździłem do Wilna, do Krakowa, na prowincję, byłem aresztowany i puszczony pod cudzem nazwiskiem, i wiem jak się trudno ustrzedz, nie tyle od wrogów, ile od znajomych i krewnych, którzy mogli mnie najniewinniej wydać. Wolę przypuścić, że autor tych szczegółów nie zna, bo inaczej jego oskarżenia byłyby zbyt obrzydliwemi.

Inni »warchołowie« byli także nader zasłużeni od początku organizacji i ruchu narodowego.

Józef Narzymski był członkiem Komitetu Centralnego w 1862 r., propagatorem w Płockiem, a przedtem bardzo czynnym podczas pierwszych manifestacji.

Stanisław Frankowski był z bratem swoim Leonem jednym z najlepszych organizatorów od samego początku, kiedy jeszcze autor i jego przyjaciele (I. str. 151) za piecem siedzieli; dziesięć razy mógł zasiadać w Rządzie, ale wo-

łał być komisarzem na prowincji, bo więcej było roboty. We wrześniu 1863 r. dał się namówić jedynie dla tego, że nie było komu rządzić — najdzielniejsi demokraci już zginęli, albo byli zbyt znani, by módz mieszkać w Warszawie; podjął się też wówczas natychmiast niewdzięcznej pracy spieniężenia listów zastawnych, zgnojonych w skarbie narodowym gwoli szlachcie (Dokumenta do dziejów organizacji jeneralnej; list ks. Czartoryskiego. Str. 64). Człowiek to rzadkiej zacności, jak zresztą same wydawnictwo przyznaje (II. str. 62), i żadnemu z trzech braci Frankowskich, Stanisławowi, Janowi, Leonowi o korzyści osobistej nigdy się nie śniło.

Józef Piotrowski był komisarzem i organizatorem w Płockiem i Augustowskiem od 1862 r. i nigdy się nie piął do żadnych zaszczytów; musiał zaś przyjechać do Warszawy i pomagał przy wypędzeniu Majewskiego dla tego, że go rząd »biały« zawezwał do odpowiedzialności i oddał pod sąd za doraźne ukaranie batem jednego z bogatszych Augustowskich panów, który nie chciał dać powstańcom podwód, chętnie przez niego dostarczanych moskalom. Zygmunt Chmieliński tak co dzień postępował, ale go pozywać nie śmieli. Trybunał narodowy uniewinnił Piotrowskiego i jego sprawa była jednym z powodów upadku Majewskiego, którego Frankowski ledwo od śmierci uratował. Twierdzenie zaś, jakoby Piotrowski »przypadkiem się wplątał do zastępu krzykaczów i burzycieli« (II. str. 66) jest wierutną nieprawdą, bo jeszcze przy mnie, w 1862 r. był jednym z najgoręt-

szych demokratów i takiej odwagi, że on jeden żegnał się ze mną na Pradze pod nosem żandarmów, kiedy mię wywieźli na Sybir w czerwcu 1863 r.

Za długo byłoby wyliczać zasługi innych »wichrzycieli«: Asnyka, Biechońskiego i t. d, którzy należeli do ruchu od początku i sami się zresztą bronić mogą. Nawiasem powiem, że wcale nie byli wówczas »bardzo młodymi« (II. str. 67) osobliwie Narzymski, starszy odemnie i od wszystkich prawie bohaterów autora; jest to znowu jedna z tych umyślnych niedokładności anonyma, który, nie mogąc pominąć ludzi, tak wysoko stojących w dziejach narodu, i zbytecznie ich obryzgać, robi z nich przynajmniej niedoświadczonych i bezwąsych młokosów. O! bardzo mu się przydała nauka szanownych OO. Towarzystwa Jezusowego!

Z tego wszystkiego łatwo wywnioskować że autor »Traugutta« wyraźnie fałszuje dzieje całego powstania. Owi »warchołowie« właśnie byli przedstawicielami organizacji i Rządu Narodowego (Komitetu Centralnego) od samego początku, po głównych inicjatorach, Bolesławie Denelu, Apollu Korzeniowskim i innych, którzy się zbyt wcześnie dostali do niewoli. Wyłącznie oni i ich towarzysze, znani całej Polsce z dziejów powstania, jako to: Stefan Bobrowski, Leon Frankowski, Edward Rolski, Gustaw Wasilewski, Chądzyński (Biały), Juljan Wereszczyński, Edward Lisikiewicz, Jan Karłowicz, Ignacy Maciejowski, Kazimierz Bohdanowicz, Bronisław Deskur, ks. Kotkowski, ks. Drewnowski, ks. Brzoska

i wielu innych, którzy polegli w boju z samego początku lub poszli na Sybir; a z wojskowych; Jarosław Dąbrowski, Zygmunt Padlewski, Zygmunt Sierakowski i jego pomocnicy: Ludwik Zwierzdowski (Topór), Heidenreich (Kruk), dalej Zygmunt Miłkowski, Marcin Borelowski (Lelewel), Józef Jankowski, Zygmunt Chmieliński, Walery Wróblewski, Lewandowski, Kurowski, Marjan Langiewicz, Roman Rogiński, Kazimierz Mielęcki, Ramotowski (Wawer), Czachowski, Narbutt i wielu innych — oni to należeli do organizacji przedpowstańczej, tworzyli oddziały, wystąpili natychmiast na pole walki, wszystkiem kierowali, i byli by zupełnie inaczej poprowadzili powstanie, gdyby nie owi »zbawcy« i »wielcy ludzie«, tak chwaleni przez autora, których spotykałem przed 1863 rokiem jedynie w szeregach opozycji, warcholstwa, anarchji i wrogów ruchu, i których zasługi — Moskwie — teraz ogłosić wypada*).

Właściwie mówiąc, powtórzyło się w 1863 roku to, co się już działo w 1831 r., a przedtem za Kościuszki, co się stało w moich oczach we Francji i gdzieindziej w r. 1848, co się wszędzie i zawsze działo i dziać będzie, póki ludzie istnieć będą. Ludzie »doświadczeni, umiarkowani i bogatsi w zasoby materjalne«, to jest ci, którzy się dobili majątków, albo spodziewali się ich dobić przy pomocy zaborców, nie mieli najmniejszej ochoty zniszczenia porządku rzeczy, tak dla nich korzystnego, a tam bardziej oddania narodowi

*) Jeziorańskiego nie pamiętam; chyba w styczniu wstąpił do organizacji.

tego, co zostało od niego skradzionem pod opieką rządów absolutnych. Z drugiej strony ponieważ ogromna większość narodu żądała wypędzenia wrogów, nie mogli wystąpić otwarcie w ich obronie; starali się więc zatamować ruch cały umiarkowaniem i pracą legalną (przezwaną dzisiaj z łaski Stańczyka organiczną), a jednocześnie korzystać z ruchu i osłabienia Moskwy po wojnie krymskiej, by wytargować od cara jeszcze korzystniejsze dla siebie przywileje, nakształt szlacheckiej konstytucji i temu podobnych ulg.

Ci zaś, którzy nie mieli takich celów, albo chcieli odebrać to, co im skradziono od pierwszego rozbioru, parli do powstania, a ponieważ przy ogromnej nierówności sił trzeba było jak najwięcej bojowników, dążyli do podniesienia niższych warstw uwłaszczeniem chłopów, i do sprzymierzenia się ze wszystkimi tymi, którzy sobie życzyli obalenia carskiego rządu. Pierwsi byli najczystszymi spadkobiercami Targowiczan i Czartoryjszczyzny listopadowej, drudzy naśladowcami Kościuszki, Belwederczyków i Towarzystwa demokratycznego. Tamtych nazywano białymi a tych czerwonymi. Biali trzymali z rządami, nie wyłączając carskiego, czerwoni z ludami, nie wyłączając moskiewskiego.

Czytelnik znajdzie w tym samym tomie (zesz. I. Memorjał Milowicza) dość wierny opis tego całego ruchu, i dla tego odsyłam go do tego opisu, osobliwie do str. 28—36. Po manifestacjach 1861 r. i rzezi kwietniowej, wywołanej nieprawdopodobną głupotą Wielopolskiego, praca

legalna wzięła w łeb i samo przez się czerwoni wystąpili na pierwszy plan; białych sam margrabia odepchnął i w końcu 1862 r. przymusił ich prawie otwarcie do poddania się czerwonemu kierunkowi.

Takim sposobem powstał ów Komitet Centralny, który został uznany za Rząd Narodowy przez naród cały i ogłosił czysto demokratyczny program, wstępując w ścisłe porozumienie z moskiewską i europejską rewolucją. Walka była tak nierówną, że trudno się było spodziewać stanowczej wygranej; ale rzecz oczywista, że jeźli same carskie siły będą rozdwojone, jeźli cały świat liberalny będzie pomagał, można się było dobić, nawet po klęsce, tego, o co nam szło: uwłaszczenia chłopów i zniesienia absolutnego, mikołajewskiego systemu. I tego się powstanie 1863 r. dobiło, pomimo przestępstw tych, którzy się pod nie podszyli, których autor »Traugutta« wychwala pod niebiosa i o których teraz mówić będę.

Wiadomo, że przy końcu 1862 r. Wielopolski zagroził branką, a przy niej proskrypcją wszystkich tych, których policja wskaże, jako biorących udział w manifestacjach i innych przeciwrządowych ruchach. Takim sposobem, ponieważ do manifestacji kościelnych należała cała ludność, osobliwie na prowincji, zagrożeni zostali niewolą nawet ci, którzy nie mieli najmniejszej chęci do powstania i należeli do umiarkowanego, a nawet do białego stronnictwa. Od tej chwili wybuch stał się nieunikniony, i skutkiem niezmordowanych starań organizatorów, głównie

Stanisława i Leona Frankowskich, Piotrowskiego i innych, duchowieństwo i szlachta, należący przedtem do stronnictwa Andrzeja Zamojskiego, którego Wielopolski wypędził z kraju, uznali władzę Komitetu Centralnego. Czerwoni z największą chęcią przyjmowali wszystkich, którzy się bić chcieli, i jak zobaczymy dalej, wcale nieszczególnie na tej zgodzie wyszli, i na pertraktacjach, *quorum pars magna fui.* Wówczas wszedł do Komitetu (tak nazwany zamach październikowy) Oskar Awejde, który natychmiast się zwąchał z Wileńskim białym Komitetem (Przybylski, Weryho i Sp.) i jemu poświęcił — jak się później okazało i jak sam Oskarek Moskalom opisał — mię samego, Białostocką organizację (Wróblewski, Puciata, Frycze, Pluciński, Pisanko, Białokóz i inni; obacz pamiętniki Deskura i zesz. I. str. 178), i naszego komisarza w Wilnie, Diulorana (Berg. T. II. str. 374—377). Był to początek reakcji, która się jednak jeszcze jawnie nie pokazywała, tem bardziej że p. Awejde umiał być jednocześnie karmazynowym ze mną i Padlewskim, a bielutkim z Przybylskim, Weryhą i warszawskimi Jurgenszczykami.

Na pozór szło jednak wszystko po dawnemu. Komitet z organizacją trzymał się święcie wytkniętego programu: 1. Uwłaszczenia bezpłatnego włościan i natychmiastowego zniesienia pańszczyzny (tu był właśnie sęk i punkt niezgody z Litwą i Rusią). 2. Wspólnej akcji z Komitetem Petersburskim *Ziemli* i *Woli*, na który wpływ decydujący miał Zygmunt Sierakowski, i z którym działał jednomyślnie w Moskwie

mój kolega ze szkoły Centralnej, Hieronim Kieniewicz, później rozstrzelany w Kazaniu. 3. Ścisłego przymierza z międzynarodową demokracją, Mazzinim, Garibaldim i innymi 4. Czysto federacyjnej zasady z Litwą, Rusią, z zaborami pruskim i austryjackim (Gutry i Kubala). 5. Jak najprędszego powstania, skoro się potrafimy uzbroić, ale nie prędzej jak na wiosnę 1863 r.; gdyby branka miała się wcześniej zdarzyć, była uchwalona dyslokacja, to jest rozmieszczenie zagrożonych członków organizacji na prowincji, aż do chwili wybuchu.

Tak stały rzeczy, kiedy Wielopolski wykonał swój projekt branki proskrypcyjnej, dla tego, jak powiadał ów najupartszy, najzarozumialszy i najbardziej ograniczony z samozwańczych mężów stanu, »aby wrzód pękł«. Rozpacz, zamięszanie, chaos, które stąd powstały, opisane są dość dokładnie w zesz. I. str. 81. (Memorjał Milowicza), str. 181—185 (pamiętniki p. B.). Ale czego tam niema, to szeregu intryg, które się natychmiast z tego dawno przewidzianego, a niby niespodzianego wypadku wyłoniły, i o których nie wiedział prawie nikt z tych, którzy podług dawno ułożonego planu rzucili się do boju w kilkudziesięciu punktach Królestwa, gotowi pełnić święcie swój obowiązek, chociaż prześwietna dyplomacja pozbawiła ich broni, stałego kierunku, a wkrótce potem i dowódzców.

Mówię, że branka była dawno przewidziana, bo już w październiku 1862 r. Wielopolski ją obiecał, jakby umyślnie dając nam czas do uzbrojenia się. Wówczas już komitet Mierosławskiego,

chociaż ani kadrów ani broni nie przygotował. a poprzestał na swoim sławnym dyktatorze, który miał starczyć za krocie bojowników, korzystał z tej zapowiedzi dla własnych celów, ogłaszając, że członków organizacji nie da wziąć do wojska. Trudno sobie wyobrazić, jaki z tak dziecinnej przechwałki powstał zamęt w umysłach, bo myśmy nie zaprotestowali, aby nie wyjawić, jakie niesnaski istniały w łonie samego czerwonego stronnictwa, i cały naród przypisywał Komitetowi Centralnemu to, co było dziełem pp. Kurzyny, Janowskiego, Daniłowskiego i innych. Nie wiedziano nawet wogóle, że istniały dwa rządy, bo komitet Mierosławskiego prawie nic nie robił i wszystkie jego, nieliczne zresztą działania, przyjmowaliśmy na swój karb. Kiedy więc branka została ostatecznie naznaczoną najprzód na 8. potem na 14. stycznia, organizacja, osobliwie warszawska, zażądała. aby Komitet Centralny dotrzymał obietnicy, której nigdy nie dał, i wskutek zjazdu komisarzy wojewódzkich u Strojnowskiego, pod Skierniewicami, powstanie zostało nieodwołalnie naznaczone na czas branki, chociaż przygotowania zgoła nie były ukończone. Jaki w tem naznaczeniu brali udział poszczególni członkowie Komitetu, tego nie wiem, ale to wiem teraz, że skoro wszyscy się rozjechali z Padlewskim dla przygotowania powstania na 22. stycznia, Mierosławszczycy, dając przykład, który miał być wkrótce naśladowany przez krakowskich białych w sprawie Langiewicza, sfałszowali w imię Komitetu Centralnego nominację Mierosławskiego na

dyktatora i zaczęli szereg owych zamachów, na które autor »Traugutta« tak zawzięcie napada, a z których ostatnim był właśnie zamach jego bohatera na rząd wrześniowy.

Że nominacja była sfałszowaną, przyznał się sam Mierosławski ze zwykłą sobie zarozumiałością, bo w ogłoszonych przez niego dokumentach (Dokumenta do dziejów organizacji jeneralnej. Str. 1.) wydrukowano, że dekret jest stwierdzony pieczęcią z Orłem, Pogonią i Archaniołem, a więc wcale nie pieczęcią komitetową, na której był tylko Orzeł z Pogonią. Dla tego też ów galimatjasz u historyków powstania, którzy zaliczają do członków ówczesnego Komitetu z jednej strony Padlewskiego, Majkowskiego, Gillera, to jest naszych, z drugiej Janowskiego, Daniłowskiego, Jeskę, to jest Mierosławszczyków. (Berg. T. II. 395). Czy było zlanie się Komitetów? Czy Komitet Centralny znikł razem z Gillerem, który, jak sam opowiada, podał się do dymisji? To mogliby objaśnić ci, którzy w tych manipulacjach brali udział, a którzy dotychczas milczą, jak zaklęci; ale podług dokumentów samego Mierosławskiego, żadne zlanie się nie nastąpiło, a było po prostu śmiałe samozwańswo, jak później dla Langiewicza. Dla tego też pamiętniki Eustachego Petyona oskarżają tak naiwnie (str. 8) o niedołęstwo i zdradę Daniłowskiego, mniemanego organizatora województwa Mazowieckiego (prawdziwym był Stanisław Frankowski), który nic nie zorganizował, i Józefa Janowskiego, który miał działać dla »dyktatora«, a który wówczas

podobno wstąpił do prawdziwego komitetu, więc o dyktatorze już wiedzieć nie chciał.

Bądź co bądź nikt przeciw takiemu samozwaństwu nie zaprotestował, jak później nie protestowano z początku przeciw Langiewiczowi, a za wszystko zapłacili tylko nieszczęśliwi obrońcy narodu, których ten zamęt przeciwnych rozkazów musiał koniecznie dezorganizować. Mierosławski skończył swoją krótką dyktatorską karjerę pod Krzywosądzem 20 lutego i zrejterował się za granicę, narzekając w niebogłosy na zdradę tych, którzy mu wcale posłuszeństwa nie obiecywali i sami byli niemniej od niego zdziwieni, a nikt się nie domyślał, że cała gmatwanina jest tylko dziełem kilku intrygantów, między którymi, rozumie się, prym trzymał, jak przedtem i później, szanowny p. Oskar Awejde, »wieczny członek« wszystkich rządów, jakiejkolwiek barwy. Ów pierwszy zamach (o którym — rzecz dziwna — autor »Traugutta« nic nie pisze), zachęcił białych, którzy się do ruchu przyłączyli, a dla których Mierosławski był wcieleniem samego Mefistofelesa, do tak powszechnie znanego przeciwzamachu, do sfałszowania dyktatury Marjana Langiewicza.

Dla zrozumienia tego, co potem nastąpiło, należy sobie dobrze uprzytomnić skład ówczesnej organizacji. Prawdziwi spiskowi rzucili się do boju, nie wiedząc, że ci, którzy ich dotąd prowadzili, zostali już w części zastąpieni, a wkrótce mieli być zupełnie wyrugowani przez zupełnie innych działaczy. Dawni albo zostali aresztowani (jak ja, Witold i Bronisław Marczew-

scy, Kaczkowski i inni) albo pośpieszyli na pole bitwy, jak Padlewski, Godlewski, Frankowscy. Zostali się ci, którzy mieli wyłącznie osobiste wywyższenie na celu i nowozaciężni, dawni przeciwnicy powstania, Jurgenszczycy, Majewszczycy, wogóle biali wszystkich odcieni. Ci ostatni mogą być także podzieleni na dwie kategorje. Jedni byli ludzie stałych przekonań (Żulińscy, Krajewscy, Gzowski, Ruprecht), którzy nie chcieli stać na uboczu wówczas, kiedy cały naród powstał. Drudzy byli tacy sami oportuniści, jak Awejde, i zostali olśnieni wybuchem ogólnej sympatji na całym świecie dla sprawy polskiej, któremu to wybuchowi nawet rządy w części potakiwać musiały. Nie śmiem twierdzić, że byli tacy, którzy, jak w 1831 r., przyłączyli się do ruchu umyślnie dla hamowania, to jest dla zabicia powstania rękami samych powstańców, dla zbudowania swoich prywatnych zamków na trupach obrońców Ojczyzny. Taka zbrodnia byłaby zbyt ohydną, a jednak okoliczności przemawiają za prawdopodobieństwem takiego oskarżenia. Niech ich tam Bóg sądzi, ja ich oskarżać nie będę, nawet kiedy taki p. B. jawnie się do tego przyznaje (Zesz. I. str. 173).

Nawet bez takiego oskarżenia dość ciężkie są zarzuty, które wszystkim tym ludziom zrobić wypada. Jeźli byli przekonani, że powstanie jest zgubne dla kraju, jeźli sumiennie starali się niedopuścić do niego, to ich psim obowiązkiem było wytrwać na takiej drodze i działać przeciw ruchowi, któremu zapobiedz nie zdołali. Ci więc, którzy stanęli jawnie przy Wielopolskim, spełnili

ten obowiązek, o ile byli szczerymi, a nie działali dla osobistych widoków. Ale ci, którzy doprowadzili swoim oporem do powstania bez pieniędzy, bez broni, bez należytego przygotowania, a potem rzucili się w wir walki, dając jej swoją pomocą niejakie widoki powodzenia, ciężko odpowiedzą przed historją i przed narodem, i każda kropla krwi przelanej będzie ich dławiła aż na wieki wieków, jak dławi Chłopickich, Skrzyneckich, Krukowieckich i Czartoryskich, bo bez nich daleko mniej byłoby klęsk i trupów. Tym tylko historyk po części przebaczyć może, którzy dodali krew własną do potoków posoki, przelanej z ich winy.

Wytłómaczyć ich jednak można tem, że niedorzeczność planu Wielopolskiego była tak wielka, że klęski, które z niego mogły dla kraju wypłynąć, były tak oczywiste, a forma takiego pomagania zaborcom była tak wstrętną, że żadne, nawet najniedorzeczniejsze powstanie dorównać tym fatalnym skutkom nie mogło; każdy więc myślący człowiek rzucał się instynktowo do boju, nie rozumując, nie wiedząc nawet, że własną przegraną zapobiega daleko większym klęskom, że nie dopuszcza zupełnego upadku Ojczyzny. Bo cóż by się stało, gdyby się plan Wielopolskiego udał, gdyby Aleksander II. był o tyle mądrym, że dałby jeszcze większe reformy, nawet zupełną konstytucję, kongresową autonomję i wojsko polskie, jak po 1815 roku? Mielibyśmy znowu królestwo konstytucyjne o 5 miljonach mieszkańców obok carstwa, liczącego 80 miljonów poddanych, i własnemi rękami pra-

cowalibyśmy dla wzmocnienia Rosji, któraby się już troszczyć nie potrzebowała o swoje zachodnie granice, bo sami Polacy by je strzegli dla niej. Gdyby się naród stał — jak chciał Wielopolski — wiernym carskim sługą, nastąpiłoby powolne zamieranie polskości przy pomocy polskich szkół, polskich urzędników, polskiego kościoła i polskiego wojska, któremu to zamieraniu wtórowałoby niemczenie zaboru pruskiego i austryackiego, a w najlepszym razie wstąpienie ich mieszkańców na taką samą lojalną drogę, albo dążenie ich do zlania się z Moskalami. Jedyną nadzieją byłby znów szereg spisków i powstań, coraz niedorzeczniejszych, coraz trudniejszych, bo połączonych z wojną domową, z bratobójczą rzezią, przypominającą dni lutego 1846 r. Takie byłyby nieomylne wyniki zwycięstwa owego wielkiego męża stanu, którego tak chwali tom IV. patrjotycznego Wydawnictwa!

Powstanie zaś, chociaż zwyciężone, przymusiło cara do pozornych reform w samem carstwie, rozpoczęło szereg rewolucyjnych rosyjskich ruchów, pchnęło Gotorpów na niby ludowe i słowiańskie drogi, dla przeciwdziałania którym powstała autonomja tych części Polski, które się dotąd powoli wynaradawiały pod potężnym wpływem niemczyzny. Powstanie osłabiło na długo Moskali, oswobodziło od ich wpływu Niemców, którzy skorzystali z usunięcia tej opieki dla zjednoczenia się i dla odosobnienia monarchji austro-węgierskiej, pozwalającej nam z musu autonomicznie się rozwijać pod Karpatami. Powstanie zniosło ostatnie ślady moskiewsko-polskiego kró-

lestwa, i te moskiewskie siły, któreby swobodnie działały dla zawojowania całego świata, są przykute nad Wisłą do tego żyjącego trupa, który się Polską nazywa, a co chwila zmartwychwstać może. Powstanie powołało do życia ekonomicznego i politycznego miljony polskiego ludu, któremu sam car musiał dać własny zagon pod stopy i karabin do ręki. Powstanie zrobiło to, że już nas nie dusi polski renegat przy pomocy polaka-szpiega i polaka-żołdaka, że wrogiem jest wyłącznie Moskal, że wszyscy którzyby przyłożyli być może rękę do uśmiercenia Matki, muszą, chcąc nie chcąc, pracować, chociażby biernym oporem, dla jej odrodzenia. Zgrzeszyli ciężko bohaterowie autora »Traugutta«, bo powiększyli klęski nasze, ale przyczynili się, choć niechętnie, do walki, chociażby przegranej, do wszystkich jej błogich skutków — i niech im to Naród na wieki pamięta.

Jeśli jednak białych za to pochwalić należy, że przyłączyli się do ogólnego ruchu, ich gospodarka była tego rodzaju, ich zasady były tak dla naszej sprawy kompromitujące, że ich kierownictwo odrazu zachwiało całą potęgę powstania. Można się o tem przekonać z samych pamiętników przezemnie omówionych. Milowicz pisze: (Zeszyt I. str. 86). »Przyjęto ów zgubny system ciągłych zbrojnych manifestacyj« — pospolicie zwanych uciekinierstwem — „które kosztowały potoki krwi i wyniszczyły kraj z ludzi i pieniędzy, a którego rezultat był najzgubniejszy, gdyż zdemoralizował on w końcu żołnierza i mieszkańców kraju“. Boć szło o to, by się do-

czekać obiecanej interwencji (naszych zaborców!!!) nie przybiegając do ludowego, chłopskiego powstania, nie wywołując widma europejskiej rewolucji. Pierwszym krokiem na tej drodze była dyktatura Marjana Langiewicza, którą autor »Traugutta« zalicza, zupełnie po jezuicku, do czerwonych zamachów (Zesz. II str. 17), chociaż wie doskonale, że ją urządził p. Leon Chrzanowski z tymi, którzy za kilka lat mieli się stać hufem Stańczyka, a których jak i teraz, główną kwaterą był stary gród podwawelski. Owa nieszczęśliwa parodja wojny regularnej, która się skończyła haniebną ucieczką dyktatora za kordon, 19. marca 1863 r. i zaaresztowaniem go przez tych właśnie, od których się spodziewano zbawiennej interwencji, zwichnęła odrazu plan wojny i wobec całego świata spaczyła cały charakter powstania. Warto się nad tem zastanowić.

Podług planu Padlewskiego główny napór powstania był wymierzony na północny wschód, na Płockie, Łomżyńskie i Podlasie, aż do Litwy; przerywano takim sposobem komunikację Moskali z Petersburgiem jedyną istniejącą wówczas koleją, Warszawsko-petersburską; miano zużytkować najgłówniejsze siły organizacji, Warszawiaków, Kurpiów i Podlasiaków, dawano Litwie łatwość do uzbrojenia się i natychmiastowego powstania, tem bardziej, że Białostocki obwód był dawno przezemnie i Wróblewskiego zorganizowany, pomimo oporu Wileńskiego komitetu. Główne siły powstańcze były takim sposobem w sąsiedztwie Modlina i Dęblina, jedynych wówczas twierdz w Królestwie, bardzo źle opatrzo-

nych i osadzonych, które można było zatem opanować przy pomocy oficerskiego moskiewskiego spisku. Koniecznym przeto warunkiem takiego planu było ścisłe wypełnienie programu Komitetu Centralnego, jakem go wyżej określił, a mianowicie punktów 2, 4 i 5 powstania masowego, ludowego, ścisłego sojuszu z rosyjską rewolucją, poruszenia litewskiej, właściwie białoruskiej i małoruskiej ludności.

Ów plan wypełniał się z początku dość pomyślnie i tam odbyła się główna, jedyna poważna co do możliwych skutków walka 1863 roku, o której jednak prawie nic nie piszą, bo główni uczestnicy legli na polu chwały, a nikt z nich się nie bawił, ani w dyktatury, ani w emigracyjne tytuły. Opanowano kolej między Bugiem a Narwią, do Łap, Padlewski uderzył na Płock 22 stycznia, Rogiński zajął Białę 25-go, podlascy Rusini powstali masami (pamiętniki Deskura, 49—60), nastąpiły bitwy pod Węgrowem, 4 lutego, pod Siemiatyczami i walczono zawzięcie na linji od Warszawy do Białegostoku przez cały luty i marzec (Myszyniec 25 lutego, Czyżew, Zaręby, Mężenin itd.); komisarz płocki, Chądzyński, wystosował odezwę, wzywającą do pospolitego ruszenia (Berg III. 74). — Jednem słowem ci, którzy byli w polu, zrobili co mogli i co byli powinni i doszliby do innych zupełnie rezultatów, gdyby — gdyby nie ów »Rząd Narodowy«, którego autor »Traugutta« tak chwali i który się wówczas zrodził z potwornego związku intrygantów, w rodzaju Awejdy, i zacofańców, w rodzaju Ruprechta.

Oprócz owego Rządu, pierwszy cios zadał działaniom na wschodzie Wileński komitet. Nie chciał on żadnego powstania ludowego i stanowczo odmówił poparcia »aż się Litwa przygotuje«. Takim sposobem Siemiatycki bój, już w Grodzieńskiem, żadnego ruchu nie wywołał, wyprawa Rogińskiego na Polesie przeleciała bez śladu, a mieszkający o parę mil od pola walki pułkownik Romuald Traugut przypatrywał się najspokojniej naszym przegranym, chociaż mógł sam, korzystając ze swojego ogromnego osobistego wpływu na chłopów, podjąć cały powiat w imię „ziemi i wolności". (Zesz. II. str. 38). „Pierwsze dwa miesiące (właściwie trzy), pisze jego panegirysta, ze swej siedziby przypatruje się i przysłuchuje się na pozór obojętnie"... wtedy właśnie, kiedy wszystko od pierwszego naporu i od doświadczonego oficera zależało, kiedy musieli prowadzić powstańców urzędnicy, jak Frycze, studenci, jak Rogiński, obywatele wiejscy, jak Deskur, leśniczy, jak Wróblewski. Później dopiero, kiedy litewska szlachta raczyła powstać, Traugutt wystąpił 8 maja z garstką inteligencji, oficjalistów (tamże str. 41—47) i został pobity na głowę, nie przez Moskali, ale przez wołyńskich chłopów i jakiegoś tam asesora (str. 48) — przez tych właśnie, których tysiące, dwa miesiące wcześniej, mógł i powinien był sam do boju poprowadzić. Ale szlachecka zasada pozostała nietkniętą i jego biograf pociesza jego cienie na tamtym świecie tem, że »od anarchji, któraby mogła podnieść swój sztandar sromotny« (Str. 21. — tu się nie mówi, jakby można sądzić,

o Targowicy) »praca i ofiarność Traugutta ocaliły nas«...

Langiewicz miał tylko w Świętokrzyskich górach zgromadzać większe siły, organizować je przy pomocy Galicji i prowadzić potem na Warszawę, korzystając z tego, że główne moskiewskie siły byłyby zajęte między Wisłą, Bugiem i Narwią. Pierwszy Jeziorański odstąpił od planu. Po napadzie na Rawę (26 stycznia), gdzie zginął Godlewski, zamiast opanowania koleji wiedeńskiej pod Skierniewicami i Łowiczem, Jeziorański drapnął za Pilicę i połączył całe siły województwa Mazowieckiego z Langiewiczem. On to namówił byłego profesora szkoły kuneańskiej do przyjęcia fałszerstwa Grabowskiego (Berg III. 53) z obawy przed Mierosławskim i do odstąpienia ku galicyjskiej granicy. Sama zaś odezwa pseudo-dyktatora, skomponowana w Krakowie (Berg III. 21—27), mówi tylko nawiasem o uwłaszczeniu chłopów, usprawiedliwia się z przymusowego powstania, kiedy nota bene Langiewicz już kilka miesięcy przed wybuchem przyjął dowództwo w Sandmierskiem, jednem słowem jest czysto szlacheckim, reakcyjnym manifestem, za którym miały, niestety, nastąpić inne z tej samej kuźni i w tym samym duchu pisane. Z obozu w Goszczy Europa dowiedziała się, że występujemy pod chorągwią Matki Boskiej Częstochowskiej, że bijemy się jedynie dla katolicyzmu, że nie myślimy wcale o europejskiej rewolucji — anarchji chłopskiej, jak mówi autor »Traugutta«; tysiące rycin pokazały światu nowych Barskich konfederatów, których czekał ten

sam opłakany koniec, co dawnych sodalisów księcia Panie kochanku. I zdarzyła się rzecz potworna: ci którzy powstali dla oswobodzenia ludzkości, musieli ginąć pod dawnemi, zabójczemi dla naszego narodu hasłami, a pomiędzy tymi męczennikami najtragiczniejszą postacią jest Zygmunt Sierakowski. Przyjaciel Hercena, Dobrolubowa i Czernyszewskiego, założyciel komitetu petersburskiego *Ziemli i Woli*, podburzyciel całej Rosji musiał stanąć po niewczasie na czele żmujdzkich chłopów, bijących się nie za Ojczyznę, nie za wolność, ale za obcą ich przewódzcy wiarę i stać się wkrótce męczeńską ofiarą owego pojedynku dwóch Matek Boskich, Częstochowskiej i Kazańskiej, który zalał i zalewa krwią całą Rzeczpospolitą od czasów Zygmunta III i Chmielnickiego, który doprowadził nas do sromotnego upadku, a z którego korzystają jedynie ci, którzy ani w Częstochowską, ani w Kazańską nie wierzą, niemieccy kulturtregierzy, berlińscy lutrzy.

Kiedy prawdziwi obrońcy Narodu ginęli masami z takim opłakanym skutkiem, przyjaciele autora »Traugutta« — a może on sam — urządzali najspokojniej w Warszawie swoje interesa i interesiki, a właściwie, jak się wkrótce pokazało, interesa polskiej, niepoprawnej szlacheczczyzny i obywatela księcia Czartoryskiego, jak się J. M. Król i W. Książę Władysław V czy VII wówczas chwilowo tytułował. Po upadku Langiewicza i zabójstwie Bobrowskiego wszyscy Jurgenszczycy: Ruprecht, Gołemberski, Przybylski, Dubiecki i Sp. wśliznęli się cichaczem do Rządu Narodowego, korzystając z zupełnego braku zasad takiego np.

Awejdy, i z łatwowierności, a głównie z nabożności Gillera; bo ci panowie, którzy wierzą, może być, w papieża, ale w Pana Boga bardzo mało, umieją w imię religji nader zręcznie opętać takich Gillerów, Krajewskich, Traugutów i zapewnić im raj wieczny, sobie zaś doczesne akcydensa. Odsełam czytelnika do opisów w T. IV. tych rozmaitych intryg i intryżek, które się zaczęły w łonie kierowników organizacji z dwóch głównych powodów, podług których ci panowie zawsze działają: siły brutalnej, prawa pięści i — pieniędzy. Pierwsza zaznaczyła się dyplomatyczną interwencją mocarstw (zesz. I. 85. 190), druga zabraniem dwudziestu miljonów złotych polskich ze skarbu królestwa przez Waszkowskiego (zesz. I. 190—194. II. 54).

Z pamiętników p. B. przekonać się można, jak ci, którzy mieli zastąpić rozstrzelanych: Padlewskiego i Sierakowskiego, uwięzionego Dąbrowskiego, zamordowanego Bobrowskiego, poległych: Godlewskiego, Wasilewskiego, Wereszczyńskiego, Rolskiego, powieszonego Frankowskiego, zaczęli się wypierać, gwoli prawdopodobnej (!) interwencji mocarstw, zasad powstania styczniowego i puszczać się w wielką dyplomację. »Odtąd — mówi p. B. (str. 195) — znać pewnego rodzaju oziębienie w prasie zagranicznej, coraz częściej dają się słyszeć głosy, że powstanie w Polsce nie jest powstaniem narodowem, ale klerykalno-szlacheckiem, co silnie podtrzymuje dziennikarstwo moskiewskie«. Hercen, który nam dotąd gwałtownie pomagał, stracił w Rosji całą popularnośc, a pieniądze Waszkowskiego, oddane

przez niebacznego Laskowskiego w ręce Ruprechta i — mówią — Majewskiego (II. 54), ostatecznie zmarnowane, ażeby nie zaszkodzić Towarzystwu kredytowemu, posłużyły jedynie wywyższeniu Karola Majewskiego, owego ulubionego »męża stanu« autora »Traugutta« (II. 54, 55), owego renegata wszystkich stronnictw, a w końcu sprawy narodowej, założyciela Rządu czerwcowego.

Podług samego autora (II. 55) ów Rząd »był najdłużej trwającym ze wszystkich tamtoczesnych składów Rządu zbiorowego i najlepiej funkcjonującym«, działał »z zadziwiającą systematycznością, porządkiem, jak gdyby stolica nie była zajętą przez nieprzyjaciela« (II. 14. Berg III. 201—220, szczegółowy szematyzm Rządu czerwcowego podług Awejdy). Po polsku mówiąc, ci panowie pod opieką sztyletników Lempkiego, Landowskiego i Karłowicza, bawili się w czystą biurokrację i zmarnowali nietylko skarb narodowy (ażeby szlacheckim poręczycielom listów zastawnych nie szkodzić), ale całe siły powstańcze w trzech zaborach, wówczas właśnie, kiedy Moskwa była w najkrytyczniejszem położeniu. Działo się to systematycznie i bardzo porządnie, pod LW. taką a taką, referenta takiego a takiego, pod zagranicznem kierownictwem ks. Władysława Czartoryskiego i ks. Hieronima Napoleona (Plonplona II. 70, 71) — notabene znanego ateusza — a pod Warszawskiem przewodnictwem dwóch jawnych zdrajców, przedawców całej organizacji, autorów historji Berga, bo oni mu wszystkich wskazówek i dowodów dostarczyli (Berg II. i III.

passim) eks-białego, eks-czerwonego Oskara A-wejdy i eks-mierosławszczyka, eks-zamojszczyka, eks-jurgenszczyka, eks-sąsiada mojego i wyzyskiwacza w Cytadeli, Karola Majewskiego.

Ta ostatnia figura, która wywarła z samego początku na całe powstanie wpływ nader szkodliwy, należy do wyjątkowych — przynajmniej u nas w Polsce. Już w 1859 i 1860 r. Majewski był głównym ajentem Mierosławskiego (który się jeszcze wówczas ze wszystkimi nie pokłócił) i pod jego przewodnictwem, przy pomocy Kurzyny, urządzały się wszystkie manifestacje — tak jednak, aby wszyscy działający: Jankowski Narcyz, Kurzyna, Asnyk, Denel dostali się do kozy albo musieli uciekać za granicę, a sam p. Karol ocalał. Po niespodziewanym wybuchu 27 lutego 1861 r. i zrejterowaniu przestraszonych i prawie bezsilnych Moskali, p. Karol przeszedł od razu do obozu przeciwnego, który tak skutecznie zahamował na chwilę ruch cały za pomocą delegacji i straży obywatelskiej; zdawało się, że praca organiczna będzie górą, i p. Karol, myślący tylko o własnej korzyści, zręczny i żadnymi skrupułami nie krępowany, dostał się do organizacji białej, której był głównym kierownikiem przez półtora roku, nie zrywając jednak bynajmniej (szczyt zręczności) z dawnymi czerwonymi kolegami. Mógł on takim sposobem hamować do woli, przy pomocy maleńkich nadużywań zaufania, a myśmy nawet nie wiedzieli, jaką on rolę odgrywał; wszyscy wędrowali na Sybir, do Cytadeli, na szubienicę, a p. Karol drwił sobie ze wszystkiego. Całą kampanję popsuł mu

jednak Wielopolski, ów buhaj, depcący niemiłosiernie najmisterniejsze kombinacje białych: Markiz wygnał Zamojskiego, a Majewskiego, po bezskutecznej konferencji, wpakował do Cytadeli. Twierdzę tak stanowczo, chociaż p. B. dzisiejszy obrońca tego, na którego ongi pomagał zamachy urządzać, oburza się na tych, którzy J. O. margrabiego śmią o to posądzać: »Złość i głupota posunęły się tak daleko, że o aresztowanie obwiniono Naczelnika Rządu« (I. 181).

Tam przesiedział Majewski cały początek powstania, do maja 1863 r. i tam się z nim poznałem — przez ścianę. Ile on potrafił ze mnie wypompować, tego nie wiem, ale skończyło się na tem, że kiedy mię w maju wyekspedjowano na szubienicę, a wspólnik Majewskiego, Jurgens, był już skazany na śmierć powolną w lochu, p. Karol, uzbrojony do nowej kampanji, wyszedł z dziesiątego pawilionu i trafił wprost — do Rządu Narodowego. Nigdy sobie tego nie przebaczę, że pomogłem mu do tego swojemi wskazówkami, bo pomimo całej swej ostrożności musiałem mu trochę zaufać, znając go jako agitatora i nie mając pojęcia o jego dwuznaczności. Tak samo złapał się Laskowski, który podług autora »Traugutta« (II. 54) oświadczył, »że temu składowi Rządu odda swe pieniądze, w którym zasiadać będzie Karol Majewski«. I szanowny p. Karol pod potrójną opieką dawnych czerwonych działań, późniejszych białych i zagranicznych sprzymierzeńców i skarbowych miljonów, łaskawie wypuszczony przez Moskali, dostał się do steru powstania.

Rząd majowy, t. j. chwilowy zwrót do początkowego kierunku, utrzymać się nie mógł wówczas, a sam autor »Traugutta« najnaiwniej nam wyjaśnia przyczynę tego niepowodzenia. »Ilekroć — mówi — ludzie bardziej rewolucyjni garnęli się do steru, odsuwało się od nich instynktowo wszystko, co było poważniejszem, światlejszem, doświadczeńszem i zasobniejszem w środki materjalne. Wytwarzała się więc pozycja dziwna: żywioły umiarkowane narażone były nieustannie przez opozycję na wstrząsania gruntu, na którym stały, żywioły zaś bardziej rewolucyjne, gdy ujmowały ster, nie znajdywały nigdy i nigdzie poparcia« (II. 53). To jest, że biali przyłączyli się do organizacji ażeby bruździć, odmawiać posłuszeństwa, osobliwie co do zniesienia pańszczyzny i oszukiwać nas obietnicami, których wypełniać nie myśleli — taka to anarchja jest ideałem Tomu IV. »Materjałów«, i nie dziw: w naszych oczach przeprowadza się ona najskuteczniej w wiedeńskiem »Kole polskiem«.

Pan Karol Majewski, jako człowiek zręczny, umiał jednak wszystko z początku zamazać powoływaniem wszystkich sił do działania »bez względu na barwę polityczną jednostek« (II. 57). Zamianował Mierosławskiego organizatorem dla zaślepienia czerwonych (Dokumenty do dziejów Organiz. jeneraln.: str. 7 od 2 lipca 1863 i str. 45 N. 1625 od 16 sierpnia t. r.) a zarazem obywatela księcia Czartoryskiego pełnomocnikiem za granicą.

Za długo byłoby opisywać czynność Rządu czerwcowego, zwrócę jedynie uwagę na to, że

autor »Traugutta« ani słowa nie mówi o jego terorystycznej działalności, zaprzecza jej nawet (II. 73), kiedy u Berga mamy szczegółowy wykaz zasztyletowanych szpiegów i innych osobistości, właśnie w czerwcu, lipcu i sierpniu 1863 r. (Berg III. 199—201) i całą organizację żandarmów Landowskiego (tamże 219); dodam, że trzeba czytać, z jakim zachwytem szanowny autor opisuje, jak ten sam Landowski aresztował z rozkazu Awejdy, Majewskiego i Janowskiego, nie Moskali i zdrajców, broń Boże, ale przeklętych powstańców (II. 39) i jak żałuje, »że tego gniazda domowego niepokoju nie zgnieciono i nie zdeptano«. Jasno, dlaczego autor »Traugutta« milczy o sztyletowaniu, a przeciwnie daje wszędzie do zrozumienia, że tylko czerwoni »anarchiści«, »szumowiny« zajmowały się takiemi sprawami, a nie, jak było w rzeczywistości, Przybylscy, Dubieccy *et Comp.*, sami umiarkowani. Zaznaczę tu także, że dla wzmocnienia żywiołu reakcyjnego w Rządzie wprowadzono do niego, jako stałych członków, rzekomych przedstawicieli Litwy i Rusi, Wacława Przybylskiego i Marjana Dubieckiego, którzy po upadku powstania w zabranym kraju (na Rusi prawie wcale go nie było), byli prawdziwymi ministrami *in partibus*, a reprezentowali tylko interesa tamtejszej szlachty, tak od wieków dla nas szkodliwej.

Dość, że ów idealny rząd zmarnował w trzy miesiące wszystko, co zrobili jego poprzednicy. Wszelkiemi siłami powstrzymał pospolite ruszenie (Deskur. 62), odwrócił od nas sympatję Europy, oddał Litwę na pastwę tygrysa Murawiowa,

bo zupełnie ją zaniedbał, i skończył abdykacją przy pierwszej pogróżce zniecierpliwionych ostatków dawnej, właściwej organizacji. Z dwóch jego koryfeuszów pierwszy, Oskar Awejde, został aresztowany przypadkiem w Wilnie i zdemaskowany głównie z powodu własnego tchórzowstwa, bo sobie dla większego bezpieczeństwa zafarbował włosy, które mu w więzieniu odrosły i zdradziły go; wkrótce też zaczął wydawać kolegów i takim sposobem uniemożliwił dalsze prowadzenie walki. Drugi matador, Karol Majewski, uratowany od zasłużonej śmierci przez Stanisława Frankowskiego, siedział sobie spokojnie w Warszawie, wymawiając się od dalszego udziału, nawet przy białych rządach Trauguta, i został wywieziony — jak sądzą, na własne żądanie — do bliskich rosyjskich gubernji, gdzie wkrótce potwierdził zupełnie zeznania Awejdy, jak pisze Berg, i jak słyszałem z jego własnych ust (II. 118, 119. Berg II. III. *passim*). Rozumie się, że kiedy inni, daleko mniej skompromitowani, skończyli życie na szubienicy lub w katordze, ci dwaj ulubieńcy patrjotycznego autora »Traugutta« prawie wcale ukarani nie byli i cieszą się po dziś dzień najlepszem zdrowiem, ku większemu zbudowaniu tych szanownych mężów, którzy im spółczują i prawdopodobnie naśladować ich gotowi..

Rząd, który spróbował naprawić wszystkie błędy i występki tych renegatów, już nie mógł podołać coraz zwiększającym się trudnościom, głównie z powodu niekarności nie czerwonych, lecz białych, którą sam autor »Traugutta« za-

znacza w wielu miejscach (II. 53, 65, 109. — Struś. Ludzie i Wypadki: organizacja Galicyjska).

Jak już wyżej pisałem, Narzymski, Asnyk, Chmieliński, Frankowski, Piotrowski byli dawno ścigani przez wroga i samo przebywanie ich w Warszawie było prawie niemożliwem; wszyscy ich przeciwnicy, Przybylski, Janowski, Pieńkowski, Dubiecki byli zupełnie legalni, a jednak czmychnęli (przynajmniej trzej pierwsi) przy pierwszem niebezpieczeństwie (II. 115, 117, 137) — cóż dopiero groziło Chmielińskiemu i Frankowskiemu, od roku przeszło poszukiwanym? Zamach na Berga nie udał się i wówczas wieczni członkowie, Janowski i inni, oddali władzę w ręce Traugutta, któremu nikt się już sprzeciwić nie mógł; ostatni protestujący (II. 79) Piotrowski (Pepłowski), który uwziął się Warszawy nie opuścić, powisł wkrótce na stoku Aleksandrowskiej cytadeli.

Jeźlim dobrze streścił całe ówczesne dzieje, pokazuje się, że autor »Traugutta« zupełnie je przekręcił, nie szczędząc insynuacji, nawet oszczerstw, przeciw prawdziwym twórcom powstania, ku chwale owych wstecznych żywiołów, do których sam należy, a prawdopodobnie i wówczas należał. Zostaje mi jeszcze wykazać, że autor oczernia równie tych, których sobie wziął za bohaterów, mianowicie Romualda Trauguta i jego towarzyszy, ale zupełnie innym sposobem. Narzuca im mianowicie opinje, których nie mieli, czyny, których nie popełnili, skrywa prawdziwe ich działania, a to, żeby ich koniecznie zapisać

do swojego stronnictwa, które chyba niebardzo jest bogatem w ludzi nieskazitelnego charakteru, jakimi byli Traugut, Krajewski, Żuliński i inni, a ma dosyć takich Awejdów i Majewskich. Wykazanie to jest nader łatwem i na niem zakończę swoje streszczenie.

Szanowny autor zaczyna od tego, że stanowczo zaprzecza, jakoby Traugut objął rządy z namowy ks. Czartoryskiego, jak piszą prawie wszyscy, mianowicie Berg (III. 359), i sam Traugut powiedział (tamże 360): »co się tyczy mojego przybycia do Warszawy 10 października 1863 r... poddałem się namowie moich krakowskich przyjaciół«. Autor zaś pisze (II. 66, 71): »Legenda ta... zbyt uporczywie powtarzana, najzupełniej mylna... ks. Władysław Czartoryski do tej chwili ciekawej, jak nam sam oświadczył, żadnych wskazówek nie posiada«. Ale z całego jego opowiadania (tamże 70, 71) widać, że się Traugutt umawiał z Czartoryskim i Plonplonem, sam przyznał się do namówienia i natychmiast zrobił, co tym panom trzeba było, to jest, wyrzucił czerwonych i Mierosławskiego. Wywód jasny jak dzień. Traugutt nie znał wcale organizacji i jej dziejów; zaraz po ucieczce z Litwy był posłany jako inspektor do Galicji i za granicę, gdzie wszystko przed nim skłamano i wmówiono w niego, że Ojczyznę zbawi wypędzeniem anarchistów, ku większej chwale Pana Boga i Matki Boskiej. Zaprzeczenie autora »Traugutta« jest więc wierutnem przekręceniem faktów, zrobionem dla tego, by oczyścić J. O. księcia, który, sam siedząc bezpiecznie w Paryżu, posłał Traugutta

na śmierć niechybną dla ostatecznego zatamowania ruchu — co mu się w zupełności udało.

Trzeba było potem autorowi dowieść, że Traugutt rzeczywiście uratował Polskę od anarchji i dla tego wymyślił taki kunsztyk: »Dzień przybycia Traugutta do Warszawy — pisze — był dniem, gdy ratusz gorzał, palony z polecenia organów owego rządu czerwonych« (II. 73). Otóż Traugutt przyjechał, jak sam mówi, jak liczni świadkowie stwierdzą i jak pisze sam jego bjograf (II. 77), 10 października, prawie natychmiast rządy objął (autor mówi 17 października, ale Berg pisze inaczej) a ratusz zgorzał 18go w niedzielę (Berg III. 367). Więc albo nowy dyktator był malowanym rządzcą, albo — jak utrzymują świadkowie i uczestnicy — on kazał spalić ratusz. W każdym razie twierdzenie autora, dla efektu, że pożar zdarzył się w dzień jego przyjazdu, jest także wierutną nieprawdą. Późniejsze dekrety dyktatora najzupełniej stwierdzają, że skoro się rozpatrzył, wcale się nie usuwał od takich gwałtownych i niezbędnych czynów.

Dalej autor z niezwykłą zręcznością przedstawia nam cały obraz działalności Traugutta w tak przewrotnem świetle, jak gdyby on dla tego tylko objął rządy, by zgnieść hydrę anarchji, po prostu mówiąc, by wytępić prawdziwych ludowców (II. 100—102, 119—121). Co chwila przytacza takie zdania: »Każdy krok śmielszy głów, wzniecających domowy niepokój, gardłem można było przepłacić« (str. 101). »Z wszelkimi intrygantami i wichrzycielami należy postępować

z nieubłaganą surowością... jest to walka z najobrzydliwszą frakcją, która swoją własną korzyść (myślałby kto, że mowa o bankierach i posiadaczach majoratów!) wyżej nad dobro ojczyzny przenosi... uważał (Traugut) opozycjonistów za wrogów gorszych od tych, co rozszarpali ojczynę...« (str. 101). »Oprócz Moskwy i Niemców mamy jeszcze gorszych, bo domowych wrogów: adherentów Mierosławskiego« (str. 102) »Starajcie się nie pozwalać tej brzydocie zagnieżdżać się — tępić na każdem miejscu, niech nigdzie przytułku nie znajdą, niech przynajmniej polskiej nie kalają ziemi...« (str. 118). I to się pisze o Polakach, o tych, którzy służyli wiernie Rzeczypospolitej, wówczas kiedy p. Traugut bił się w Sewastopolu pod dwugłowym sępem! I ani słowa nie ma o tępieniu Wielopolskich, Bergów, Witkowskich, Gołuchowskich! Przypomina to mimowoli propozycję zdrajcy nad zdrajcami, Oskara Awejdy, który chciał karać śmiercią wszystkich wichrzycieli, dla tego, że przygotowywali zamachy na Konstantego, na Berga i na Zygmunta Wielopolskiego, i gdyby było prawdą, mogłoby obrzydzić Trauguta przed całą potomnością.

Na szczęście tak nie jest. Poczciwy Litwin został okłamany przez swoje białe otoczenie, przez takiego np. Wacława Przybylskiego, redaktora carskiego *Kurjera Wileńskiego*, który na mnie samego wydał wyrok śmierci jeszcze w r. 1862, bom chciał chłopów uzbroić, ale który, broń Boże, palcem nie ruszył przeciw Murawiowowi. Zresztą, jako gorliwy katolik, piszący całe stronice o obowiązkach »żołnierza

chrystusowego« (str. 105) (coby był na to sam Chrystus powiedział?), Traugut miał fanatyczną nienawiść ku wszystkim »niedowiarkom«, jakim był n. p. blagier nad blagierami, Mierosławski, i nigdy się z nimi pogodzić nie mógł. Ale godził się z Piotrowskim, z Waszkowskim, i skoro się rozpatrzył, wstąpił śmiało, lecz za późno, na drogę, wytkniętą przez Komitet Centralny. Sam autor »Traugutta« tego skryć nie może, i cytuje dekret z 27 grudnia 1863 r. (str. 109), którym naznacza się »kara śmierci« na tych, którzy zmuszali, przy pomocy Moskali, chłopów do pańszczyzny. Chociaż autor zaznacza (rzecz bardzo wątpliwa), że Gołemberski zajął się wykonaniem tego dekretu w Krakowskiem, musi przyznać, że »dekreta pozostawały literą martwą«. I nie dziw: wścibiono już do organizacji samych przyjaciół pp. Przybylskich i Dubieckich, i już na początku 1864 r. szlachta rzuciła się hurmem do podpisywania carskich »adresów« i do łapania niedobitków powstania (Berg III. 435—438).

Traugut poszedł jeszcze dalej. Kiedy jego wspaniała niby, a w praktyce zupełnie bezsensowna organizacja wojska powstańczego, z korpusami, dywizjami, generałami i sztabami (II. str. 102—106) spełzła koniecznie na niczem, Traugut, zabraniając pod karą gardła — rozumie się bezskutecznie — rozpuszczania oddziałów (str. 108), ogłosił to, cośmy chcieli zrobić przed rokiem, pospolite ruszenie, 27 stycznia 1864 r. (str. 123). Niestety! Nikt się już bić nie chciał, a najbardziej przyjaciele autora »Traugutta«, którzy się wymykali gwałtem za granicę,

zostawiając na wyłomie tych, którzy mieli życiem przypłacić swoje łatwowierne zaufanie pp. Czartoryskim, Majewskim i Przybylskim. Sam autor »Traugutta« najnaiwniej nam opisuje tchórzostwo i zdradę całego tego stronnictwa, nie wiedząc nawet, jak dalece kompromituje się. Wówczas, kiedy Kurzyna jeździł sobie do Warszawy i urządzał kontr-rządy, które się utrzymały po upadku Trauguta, kiedy Waszkowski wszędzie latał do końca 1864 r., (II. 119. Berg II. 429, 440) ci mężni panowie wpakowali Trauguta do zamkniętej klatki, chociaż warszawska policja wcale go nie znała, i trzymali go tam, aż go sami nie wydali, drżąc ze strachu, kiedy trzeba było im przejść z Elektoralnej na Smolną (II. 86—90, 133). Sam autor nie czuje nawet, jak haniebnie on i jego przyjaciele wyglądają, siedzący jak myszy pod miotłą w więzieniu, nie śmiący odezwać się nawet, modlący się i wydający się wzajemnie (I. 211, 213. II. 147—155), kiedy im głos odważny z sąsiedniej celi zakrzyczał: »Wracaj do swej celi! pięciu kapłanów przybyło, zapewne jeden dla ciebie« (str. 155). A był to głos męża zupełnie innych przekonań i innego hartu, Jarosława Dąbrowskiego, który już wówczas dwa lata siedział, który się takim samym sposobem ze mną żegnał w X. pawilonie, 18 maja 1863 r., widząc mię przechodzącego ze spowiednikiem, który nikogo pod grozą śmierci nie wydał, jak owi Awejdowie, Majewscy, Morawscy, Przybylscy, a mógł przecież ich wszystkich, mię pierwszego, jeszcze przed powstaniem wysłać na szubienicę.

Zrobię tu jedną uwagę. Z dzieła, o którem mowa, zdawałoby się, że autor wyśmienicie zna wszystkie fakty pobytu Trauguta w Warszawie i że przynajmniej takie szczegóły powinne być prawdziwemi, nawet kiedy autor przekręca daty i zdarzenia ku chwale tych, którzy od wieków gubią biedną Ojczyznę naszą. Tymczasem i tu nasuwają się poważne wątpliwości. Autor opisuje tak szczegółowo mieszkanie Traugutta na Smolnej Dolnej, dodając, że w pobliżu mieszkał także Marjan Dubiecki — że jego opowiadanie powinno być zupełnie wiarygodnem. Ręczę jednak, że albo się omylił, co niepodobna, albo zapomniał, albo przekręcił wszystko podług Berga; tem śmielej ręczę, że na tej samej Smolnej Dolnej upolował mię p. Wielopolski 22 grudnia 1862 r. Podług autora Traugut mieszkał pod nr. 1 u p. Majewskiej (Kirkorowej), w domu Augusta Wolkiewicza, gdzie teraz szkoła weterynarji, a w oficynie mieszkał Marjan Dubiecki; dom ten miał być jedynym przy tej ulicy (II. str. 87, 88). Opisanie zgadza się najzupełniej z Bergiem, prócz nr. 1, którego wówczas być nie mogło (były numera hipoteczne), i nazwiska właściciela — u Berga nazywa się on Wilkowujskim (Berg III. 362). Tymczasem na Smolnej Dolnej, z lewej strony od Książęcej, gdzie mógłby być nr. 1, jest i był na rogu ogród szpitala św. Łazarza, a dalej był domek za ogrodem Izby Obrachunkowej, ale zupełnie inny, z wschodkami od ulicy, gdzie mię właśnie złapano i gdzie był wówczas skład artyleryjski. Na prawo zaś jedynym wówczas domem była fabryka maszyn

i narzędzi Banku Polskiego nr. 3041 b, z wejściem od Książęcej i Ludnej. Zdaje się, że autor miał na myśli właśnie ów domek na lewo, nr. 1286 b, należący podług »Taryfy m. Warszawy« Świątkowskiego z r. 1852, do Augusta Wolkiewicza, i zajęty obecnie przez szkołę weterynarji. Ale gdzie się podział skład artyleryski, który tam istniał z pewnością w 1863 r.? Czy autor, mówiąc o »jakichś fabrykach na Solcu« i mieszkając tam, nie wiedział, że była to fabryka Banku, dziś Lilpopa? Wygląda to wszystko, jak przerobione z Berga, który się widocznie omylił, i dziwi mię bardzo ze strony blizkiego towarzysza i powiernika Trauguta.

Wracam do dyktatora. Opuszczony przez białych, Traugut poszedł dalej po drodze, po której z samego początku powinien był kroczyć, i nie licząc już na interwencję mocarstw, którą go Czartoryski całą zimę mamił, w marcu chciał zawrzeć umowę z żywiołami rewolucyjnymi Włoch i Węgier (II. 131), czyli z Mazzinim i Koszutem, których Majewski i Czartoryski odepchnęli w czerwcu 1863 r. Za późno! Zresztą sam autor mówi, że sami ministrowie, mianowicie dyrektor spraw zagranicznych był temu zamiarowi przeciwni i dla tego ostatni odważył się (o zgrozo!) przyjść z latarką do dyktatora na Smolną (str. 133, 134). Następuje patetyczny opis niebezpieczeństwa, śmieszny do dziwaczności, ale zarazem nader smutne są te objawy zgnilizny całego stronnictwa.

Sam autor opisuje nam dokładnie całą jego moralną nicość, kiedy wskutek — jak się domy-

ślam — wskazówek Awejdy, biali urzędnicy nieszczęśliwego dyktatora zaczęli wszystkich zdradzać; tego jednak darować mu nie można, bo jest to fałsz wierutny, że zdrajców chce koniecznie przypiąć, mimo całej oczywistości, do czerwonych i do Chmielińskiego. Zdradził Jan Ławcewicz, sekretarz Janowskiego (II. 137. Berg III. 375), zdradził Karol Przybylski, brat Wacława, filara białych od r. 1862 (II. 141), zdradził Cezary Morawski, kolega Dubieckiego z Kijowa, mianowany przez Trauguta (II. 117), codzienny gość na Smolnej (Berg III. 375), a autor śmie rzucić podejrzenie na Jana Wernickiego (II. 140), który zresztą nie mógł zdradzić rządu, do którego od roku nie należał. *Fi, monsieur le secrétaire*. I wkrótce padli ofiarą p. B. (I, 207), Dubiecki (II. 147), Traugut (II. 148), Roman Żuliński, Rafał Krajewski, Jan Jeziorański, Józef Toczyski i wielu, wielu innych.

Nieprawdą zresztą jest, jak pisze autor, by aresztowanie Trauguta 10 kwietnia 1864 r. spowodowało upadek powstania. Powstanie już upadło po rozbiciu Bosaka, po ogłoszeniu stanu oblężenia w Galicji, po zdradzie Awejdy, po masowem odstępstwie całej szlachty w Kongresówce. Trzymali się jednak w samej Warszawie przez cały 1864 rok ludzie dobrej woli, Waszkowski, Brzeziński, niedobitki dawnej organizacji, na prowincji ks. Brzoska, Kuszłejko na Żmudzi i inni, ale biali, owi towarzysze autora, co do jednego sprzeniewierzyli się. Nie rozumiem także, dlaczego autor kończy twierdzeniem, że owe pięć ofiar 5 sierpnia 1864 r. nie stanowiły Rządu Na-

rodowego (II. 158). Idzie mu widać głównie o to, by wybielić nieboszczyka kardynała Dunajewskiego i dlatego oskarża Moskali o wymysł i fantazję, kiedy go także, w wyroku ostatecznym, zaliczyli do Rządu; nie śmiem twierdzić, by należał do ruchu, chociaż on prawdopodobnie, za moich czasów, redagował *Głos Kapłana* *). Mniejsza o to, czy Krajewski, Toczyski, Jeziorański, Żuliński stanowili Rząd w komplecie, kiedy ich ujęto i powieszono; byli to rzeczywiście najwydatniejsi pracownicy czasów Trauguta, razem z doktorem Dybkiem, i warci byli zostać uosobieniem ginącego Rządu białego dyktatora. Nie zrobili wiele, ale też nikogo nie zdradzili i zostali wiernymi do końca. Byłem ich przeciwnikiem, walczyłem osobliwie z Dybkiem, który daleko lepiej byłby zrobił, gdyby się był wziął razem ze mną w listopadzie 1862 r. do tej samej pracy, którą chciał uskutecznić jak raz o rok później — ale muszę oddać hołd należyty ich charakterowi i ubolewać nad łatwowiernością, z którą się poddali obiecankom Targowicy. *Sit eis terra levis!*

Tuszę, że w tej przydługiej recenzji dość jasno dowiodłem, że zamieszczone w tomie IV. »Wydawnictwo Materjałów do historji powstania«

*) Ciekawym dowodem katolickiej zawziętości autora »Traugutta« jest to, że przy tej sposobności mocno napada na Artura Wołyńskiego, mówiąc, że do organizacji nie należał i nie potrzebował emigrować, a na następnej stronicy (159) przyznaje, że pracował u Gzowskiego i u Dubieckiego. Ale trzeba było skarcić — apostata.

pamiętniki, a osobliwie monografja »Romuald Traugutt i jego dyktatura« grzeszą przeciw najelementarniejszym zasadom bezstronności, prawdziwości i patrjotyzmu, i dlatego wcale w takiem wydawnictwie nie powinne znaleźć miejsca. Redakcja powinna je była przynajmniej dopełnić uwagami i sprostowaniami, oprócz tych kilku dopisków, które się w zesz. II. znajdują (str. 66, 84, 121, 127, 129, 159, 161). W teraźniejszym stanie przedstawiają one zupełnie fałszywy obraz ówczesnych wypadków, nie tyle co do faktów, ile co do samego kierunku i zawierają przytem moc oszczerstw tendencyjnych, które mię zniewoliły do odpowiedzi. Chwalenie zaś jawnych zdrajców Ojczyzny: Wielopolskiego, Awejdy, Majewskiego stanowiłoby zdradę stanu w niepodległem państwie, i powinno być uważane jako takie przez polskie społeczeństwo, jeźli się poczuwa do samoistności. Sprostowałem o ile mogłem błędy i przekręcenia, a gdyby inni ówcześni działacze to samo zrobili, mielibyśmy prawdziwe materjały dla nauki i pożytku przyszłych pokoleń. Może się często omyliłem, ale z pewnością ani fałszu ani oszczerstwa się nie dopuściłem.

30—
15—
8°993/1596

Słyszcie / panie //
Ksiege / co teraz czytacie //
gdy podlejsza waszych /
przecz ja zabieracie //
mam ja inszych wiela /
ponoć lepsze / bracie //
nijakich wam nie dam /
aż mi tę oddacie.
Stefan Kotarski // 1960 //

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA
122612

Biblioteka WSP Kielce
0153622